

Alison Roberts

Cisza w eterze

Medical duo 217

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Całkiem jak nowy. – Ted Scott cofnął się o krok i popatrzył z uznaniem na błyszczącą, kanarkowo-żółtą powłokę lakieru pokrywającą karoserię śmigłowca.

Wcisnął do kieszeni kombinezonu flanelową ściereczkę, której używał do polerowania. Jak zawsze po zakończeniu zadania, musiał przygotować helikopter do startu. Skoro przegląd wypadł pomyślnie, pozostało mu teraz uruchomić ciągnik holowniczy i wprowadzić śmigłowiec do hangaru. Podszedł do dystrybutora i zajął się zwijaniem długiego węża. Z budynku bazy ratownictwa lotniczego w Christchurch nadal nikt nie wychodził, z czego wywnioskował, że zebranie załogi nie dobiegło jeszcze końca.

Odwiesił na miejsce końcówkę węża. Niewątpliwie zasłużył już sobie dzisiaj na odpoczynek. Miał za sobą trzy misje ratunkowe, z których każda zakończyła się sukcesem. Ted pomyślał, że to właśnie dzięki dniom takim jak dzisiejszy tak lubi tę pracę. Gdyby nie pomoc pogotowia lotniczego, obie ciężko ranne ofiary karambolu na autostradzie nie miałyby większych szans na przeżycie, podobnie jak przedwcześnie urodzone bliźnięta, które wymagały natychmiastowego przewiezienia z odległego, wiejskiego szpitalika na wyposażony w odpowiedni sprzęt oddział noworodków w mieście.

Natomiast ostatnie wezwanie na niedaleki stok Mount Hutt, gdzie jakiś pechowy narciarz złamał rękę w nadgarstku, właśnie od Teda siedzącego za sterami wymagało szczególnych umiejętności ze względu na wzmagający się wiatr.

Sygnal pagera był ledwo słyszalny poprzez warkot silnika ciągnika holowniczego. Ted z ociąganiem sięgnął do kieszeni i odczytał polecenie zachowania gotowości do startu.

– Sektor siódmy! – jęknął. – Sam środek tych cholernych gór. – Dotarcie tam i zlokalizowanie miejsca wypadku zajmie mu co najmniej godzinę. Co gorsza, warunki atmosferyczne nie wróżyły niczego dobrego. Północnozachodni wiatr po tej stronie gór oznaczał, że po drugiej stronie pogoda jest wręcz koszmarna. Tymczasem sektor siódmy obejmował obszar płozony po obu stronach łańcucha. A do tego niedługo ma zapaść zmierzch. Ted wycisnął na klawiaturze telefonu komórkowego numer dyżurnego meteorologa. Przede wszystkim musi ustalić, czy nie zbliża się gwałtowne załamanie pogody. Potem wejdzie do biura, żeby spytać o szczegóły na temat wezwania. Nagle przestało mu się spieszyć do domu. Gdzieś daleko w górach ktoś potrzebuje pomocy. Być może od powodzenia misji ratowniczej zależy jego życie.

Równoległe brzęczenie dwóch pagerów przerwało ciszę panującą w pokoju, wywołując poruszenie wśród zebranych przy stole ratowników.

– Masz szczęście, Łosiu. Dzwonek cię uratował.

– Chyba żartujesz. Akurat dzisiaj wolałbym nie dostać kolejnego wezwania. – Murray Peters odczytał wiadomość i podniósł się z krzesła. – Tylko nie siódemka! – jęknął, sięgając po słuchawkę telefonu łączącego bazę z dyspozytornią, Phil Warrington, siedzący dotąd u szczytu stołu, również podniósł się z miejsca.

– Nie ma na co czekać, musicie się pakować. A jeśli chodzi o tamte sprawy, to i tak

musimy wszystko dobrze przemyśleć, zanim podejmiemy jakąś decyzję.

– Tylko nie zapomnijcie, że dwudziestego, za miesiąc, urządzam pożegnalnego grilla. Przynieście tylko mięso do pieczenia, ja stawiam drinki.

– Sprawdzę, czy akurat mam wolne – roześmiał się Mike Bingham, nazywany przez kolegów Długim z racji niezwykle wysokiej, szczupłej sylwetki.

– I tak dobrze wiemy, że nie odpuścisz takiej okazji – roześmiał się Harry Greene. – Nie słyszałem, żebyś choć raz zrezygnował z kielicha.

– Szczególnie jeśli nie musisz za niego zapłacić – wtrąci Ross While.

– To kto ma dyżur dwudziestego? – zaciekał się Harly, widząc, że Mike otwiera kalendarz.

– Łoś i Wielka George.

– No to masz pecha, dziewczyno.

Mężczyźni nie kryli współczucia, ale odpowiedziało im jedynie wzruszenie ramion. Całe zainteresowanie George skupione było bowiem na rozmowie, jaką Murray prowadził przez telefon. Sądząc z uwagi, z jaką studiował wiszącą na ścianie, dużą mapę, mimo późnej pory wyłot z kolejną misją ratowniczą został potwierdzony.

Georgina Collins zamknęła notes i podniosła się z krzesła. Miała niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu i nawet w wojskowych butach o grubej podeszwie nie zasługiwała na przydomek, jakim obdarzyli ją współpracownicy. Zwłaszcza że jaskrawo-pomarańczowy, luźny kombinezon dodatkowo podkreślał kruchość jej sylwetki. Jednak mimo drobnej postury posiadała umiejętności i siłę charakteru, która zjednała jej szacunek wszystkich bez wyjątku kolegów. Dlatego też żal, jaki właśnie wyrazili, słysząc, że nie będzie uczestniczyć w przyjęciu, był całkowicie szczery.

– Weź zwolnienie, George – poradził Mike.

– Świetny pomysł, Długi. Rozumiem, że sam ją zastąpisz? Zanim Mike zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł Ted Scott.

– Co z pogodą, Rudy?

– Mówią, że kiepsko – pokręcił głową pilot, zajmując miejsce przy stole. – Ale jak jest naprawdę, okaże się na miejscu. To znaczy, że akcja nie została odwołana, tak?

– Zaraz się dowiemy.

Wszyscy skierowali spojrzenia na Murraya, który właśnie odwiesił słuchawkę.

– Lecimy. Poszkodowani znajdują się gdzieś na szlaku prowadzącym z przełęczy Minchin wzdłuż strumienia Townsend. – Murray sięgnął po stertę map i wyszukał szczegółowy plan wskazanego terenu. – Kierowali się do szałasów Locke nad Taramakau. Z przełęczy wyszli jakieś półtorej godziny temu, czyli powinni być gdzieś w połowie drogi do celu.

– To strome zejście – zauważył Ted.

– I co gorsza, na kompletnym bezludziu. Dotarcie tam na nogach zajęłoby z sześć godzin – zauważył George. – Wiadomo już, co dokładnie się stało?

– Dwóch turystów wybrało porośnięte krzewami zejście powyżej potoku. Jeden spadł jakieś dziesięć metrów w dół, na skały na dnie wąwozu. Na kilka minut stracił przytomność,

ale przynajmniej na razie jego stan nie wskazuje na poważne obrażenia głowy. Doszło natomiast do otwartego złamania podudzia, ogólnego potłuczenia i rozcięcia przedramienia. Ranny stracił około 750 mililitrów krwi – wyjaśnił Murray.

– Całkiem precyzyjny opis – zdziwiła się George. – Czyżby któryś z tych turystów był lekarzem?

– Zgadłś. Ranny to Dougal Donaldson. Pracuje jako konsultant w izbie przyjęć tutejszego szpitala. Znasz go?

– Z widzenia. Pojawił się u nas jakieś trzy miesiące temu, prawda?

Przypomniała sobie, że Dougal pochodzi ze Szkocji. Był bez wątpienia przystojny, a dzięki zapałowi, z jakim podchodził do pracy, zdążył zaskarbić sobie przychylność współpracowników. Mimo to George starała się trzymać od niego z daleka. Odczuwała niechęć do wszystkiego co szkockie i, w przeciwieństwie do innych przedstawicielek płci pięknej, nie zachwycała się charakterystycznym dla Glasgow akcentem lekarza.

– Chyba trzeba będzie go wciągać na pokład – zauważyła, podążając za kolegami do magazynu po niezbędny sprzęt.

– Raczej tak. – Murray z westchnieniem spojrzął na zegarek.

– Wiesz, że teraz twoja kolej na bujanie się na linie – rzekła ze śmiechem George.

– Za nic w świecie!

– To może rzucimy monetę.

– Daj spokój, George. Wiesz przecież, że Sophie obchodzi dziś szesnaste urodziny. Za nic nie wybaczyłaby mi, gdybym utknął na noc gdzieś w górach i nie wrócił do domu.

– A dlaczego miałbyś nie wrócić? Zanim się obejrzymy, będziemy z powrotem w bazie. Na pewno pojawisz się w domu przed dziewiątą.

– Mówiłeś, że turystów jest dwóch. To znaczy, że obu mamy zabrać na pokład? – ustalał Ted.

– Trudno powiedzieć. Zobaczymy, ile zostanie nam czasu i jaka będzie pogoda. Podobno temu drugiemu nic się nie stało. Gdyby znalazł jakieś bezpieczne schronienie na noc, jutro mógłby zejść na dół o własnych siłach. Można by nawet wysłać mu kogoś do pomocy.

– Nie wiesz, kto to? Też jakiś lekarz? – George zdjęła z haka siodełko służące do spuszczenia się ze śmigłowca na Unie i wciągnęła je na kombinezon, za co Murray obdarzył ją wdzięcznym uśmiechem.

– Nie mam pojęcia. Przedstawił się chyba jako przyjaciel Dougala, na imię ma John. Ale prawdę mówiąc, nawet nie mam pewności, z którym z nich rozmawiałem, bo zanim zdążyłem zapytać, przerwało nam rozmowę. Widocznie rozładowała się im komórka.

Opuścili magazyn i skierowali kroki do śmigłowca. Pozostali uczestnicy przerwanej wezwaniem zebrania czekali na gotową do odlotu ekipę przed hangarem.

– Posłuchaj, Łosiu. Jak byś właściwie odpowiedział Philowi, gdyby nie ten telefon? – zapytał Ross.

– Nie rozumiem? – W tej chwili myśli Murraya całkowicie zaprzętała zbliżająca się akcja.

– Mówię o propozycji, by przyjąć tu na stałe lekarza.

– Muszę to przemyśleć.

– A co ty o tym sądzisz, George?

– Nie podoba mi się ten pomysł – odparła, zapinając na ramionach paski przytwierdzone do siodełka. – Szczególnie że spowoduje to zmniejszenie liczby ratowników, a to z kolei oznacza, że część z nas zostanie bez pracy.

– O to akurat nie musisz się martwić – zauważył Ross. – Słyszałem, jak Phil oferował ci posadę u siebie.

– Owszem. Po raz kolejny zaproponował mi stanowisko kierowniczkę w dyspozytorni, ale nie bardzo mam na nie ochotę. Nie lubię siedzenia za biurkiem, a tam tylko raz na jakiś czas mogłabym wziąć udział w akcji. Wiem, że teoretycznie to awans, ale wbrew temu, co wielu z was jeszcze nie tak dawno myślało, nie zamierzam na razie rezygnować z zawodu.

Ross pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To znaczy, że plecy już cię nie boją? – zapytał.

– Nie.

Ted zajął już miejsce za sterami i zapuścił silnik. Stawiając stopę na stopniu kabiny, Georgina zawahała się na chwilę.

– Zresztą to nie jedyny powód, dlaczego nie podoba mi się ten pomysł. Jeśli we wszystkich akcjach będzie nam towarzyszyć lekarz, przy każdym poważniejszym przypadku, wymagającym na przykład intubacji, pozostanie nam tylko przyglądać się jego poczynaniom. W ten sposób szybko zapomnimy wszystko, czego zdążyliśmy się nauczyć.

– Powtórz to na najbliższym spotkaniu. – Ross starał się przekrzyczeć coraz głośniejszy warkot silnika.

– Oczywiście. Ale teraz już czas na nas. Na razie.

– Trzymajcie się.

Zatrzasnęła za sobą drzwi kabiny i nacisnęła na głowę hełmofon. Włosy, związane gumką w koński ogon, uwierały ją tak niemiłosiernie, że syknęła z irytacją.

– Chyba zmienię fryzurę – wyjaśniła na widok zdziwionego spojrzenia Murraya. – Mam dosyć upychania włosów pod hełmem.

– Nie rób tego, George – usłyszała w słuchawkach łagodny głos Teda. – Odkąd zaczęłaś je zapuszczać, coraz bardziej mi się podobaasz. Z dnia na dzień stajesz się bardziej kobieca.

– Tym bardziej muszę je ściąć.

Właśnie po to, by utrzymać chłopięcy wygląd, przez całe lata króciutko przystrzygała włosy. Jak to możliwe, że teraz pozwoliła im odrosnąć aż do ramion?

Helikopter wzbił się w powietrze, Georgina jeszcze raz spojrzała na zebraną na lądowisku grupkę kolegów. Patrząc na rozwianą przez wiatr czarną czuprynę Rossa, pomyślała, że na pierwszy rzut oka przydomek Biały tak samo do niego nie pasuje, jak Wielka George do niej samej. Chyba że ktoś wie, że ów śniady, ciemnowłosy mężczyzna nosi nazwisko White. Nikogo nie dziwiło, że chudy i wysoki Mike Bingham to Długi, a zawsze roześmiany Harry to Polly, czyli skrócona wersja imienia życzliwej wszystkim bohaterki dziecięcej książki.

Z racji postury i usposobienia Murray został Łosiem, a z powodu koloru włosów Ted Scott zyskał przezwisko Rudy. Bez przydomka trudno było w tym towarzystwie uchodzić za członka zespołu. Georgina Collins została Wielką George pięć lat temu, kiedy jako pierwsza

kobieta przystąpiła do grupy ratownictwa lotniczego. Fakt, że mężczyźni przyjęli ją do własnego grona, napawał ją dumą. Pracowała z równym im poświęceniem, doskonaliła umiejętności i nawet włosy strzygła na męską modę, by nie odróżniać się do reszty zespołu. Czyżby zmiana, jaka teraz w niej zaszła, była wynikiem wypadku sprzed paru miesięcy?

Dzięki hełmofonom załoga śmigłowca mogła się swobodnie porozumiewać mimo pracy silnika. George przysłuchiwała się rozmowie Teda i Murraya z centrum kontroli lotów i stacją meteorologiczną. Odwrócona tyłem do kierunku lotu, przymknęła oczy. Na pamięć znała już widoczny w dole krajobraz. Żółte łąny zbóż przeplatające się z zielonymi kwadratami pastwisk, błękitne oczka niewielkich jezior i modre wstęgi rzek. Nawet długa linia brzegowa Nowej Zelandii, bezkres ciągnącego się po horyzont oceanu oraz budzący jednocześnie zachwyt i grozę górski masyw, do którego się właśnie zbliżali, nie robiły teraz na niej takiego wrażenia jak dawniej.

Wywołane gwałtownym podmuchem wiatru nieprzyjemne kołysanie śmigłowca wyrwało ją z odretwienia. Wbrew samej sobie jęknęła cichutko.

– Źle się poczułaś? – zdziwił się Ted.

– Oczywiście, że nie – odparła z lekkim zniecierpliwieniem. – Przecież ja zawsze jestem w formie.

– To dlaczego jesteś bez humoru? – Ja?

– Mnie w każdym razie na pewno nie jest do śmiechu – wtrącił Murray. – Jeśli nie zdążę na urodziny Sophie, nie mam po co wracać do domu.

– To podobnie jak ja – westchnął Ted. – Nie wiem, czy wiecie, ale dziś jest rocznica mojego ślubu. Na ósmą trzydzieści mamy zarezerwowany stolik w najdroższej restauracji w mieście.

– W takim razie dodaj gazu, przyjacielu! – Murray roześmiał się. – Bo, jak widać, obu nam dziś pilno do domu.

Georgina siedziała w milczeniu. Sama nie musiała się spieszyć. Nie miała żadnych planów na wieczór, a w domu czekały na nią jedynie przygarnięte pod dach zwierzęta. Pomyślała, że to nie fakt, że jest kobietą, nie sięgające do ramion włosy, ale brak rodziny najbardziej odróżnia ją od pozostałych członków zespołu. Tylko ona właściwie całe swoje życie podporządkowała pracy. Pracy i przeróżnym dziwnym czworonogom, których nie oddałaby nikomu za żadne pieniądze mimo licznych kłopotów, jakie jej sprawiały. Przecież to właśnie jest jej recepta na szczęście.

– To ile już lat jesteście razem, Rudy? – zapytała, przerywając milczenie.

– Dwadzieścia osiem.

– Naprawdę? – Przyjrzała się koledze z niedowierzaniem. ~ Musiałeś być bardzo młody, kiedy braliście ślub.

– Miałem dwadzieścia pięć lat. Poznaliśmy się z Margaret na balu lotników. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Sześć tygodni później zostaliśmy małżeństwem.

– I to w dodatku szczęśliwym. To niesamowite, bo przecież przed ślubem nie zdążyliście się nawet dobrze poznać.

– Nie było takiej potrzeby. Od początku wiedzieliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni –

wyjaśnił z przekonaniem.

George zamyśliła się. Z jednej strony zazdrościła Tedowi udanego związku, z drugiej jednak drażniła ją nieco jego pewność siebie. Skąd mógł od razu wiedzieć, że w jego życiu nie pojawi się nikt inny? Sama nigdy nie pozbyła się wątpliwości. Gdyby nie one, może...

Kolejny wstrząs śmigłowca wyrwał ją z zadumy.

– Uważaj na wyboje – zażartowała, starając się ukryć niepokój. Przyływ adrenaliny, jaki zazwyczaj odczuwała w trakcie akcji, nie był tym razem dostatecznie silny, by odwrócić jej uwagę od nieprzyjemnych, związanych z turbulencją doznań. Miała za sobą męczący dzień, który zaczął się tuż po siódmej rano wezwaniem do rannych w karambolu. Jeszcze teraz na myśl o zakończonej sukcesem intubacji tęgiego kierowcy ciężarówki odczuwała głęboką satysfakcję.

Wróciła też myślami do dwojga maleństw, które transportowała dzisiaj do szpitala. Ich matka była zrozpaczona, gdy dowiedziała się, że w śmigłowcu jest za mało miejsca, by mogła towarzyszyć bliźniętom. George ze wzruszeniem przyglądała się przez szybę inkubatora doskonale ukształtowanym drobnym rączkom. Miała nadzieję, że już wkrótce stan maluchów poprawi się na tyle, że nie będą wymagały stałego monitorowania i kroplówek i wreszcie zaznają miłości w ciepłych ramionach matki.

Ted i Murray właśnie zaczęli porównywać wiek swoich dzieci, więc George pozostało jedynie przysłuchiwać się ich rozmowie. Córka Łosia, Sophie, była najstarsza z pięciorga rodzeństwa. Ted dorobił się już nawet wnuka. Nie posiadając własnych dzieci, George mogła pochwalić się jedynie gromadką przygarniętych zwierzaków. Menażeria ta była tak przedziwna, że trudno byłoby potraktować ją jako namiastkę rodziny. Koszmarnie źle wychowany osioł, geriatryczna kobyła, złośliwa koza i okropnie przebiegły kocur nie mogły dla nikogo stanowić wymarzonego towarzystwa.

George jednak nigdy nie wybierała sobie czworonożnych przyjaciół. Wszyscy trafili do niej przypadkiem, w wyniku dość niezwykłych splotów okoliczności. A ze sama Georgina Collins też była osobą niezwykłą, pojawianie się w jej życiu co raz to nowych dziwolągów przestało już kogokolwiek zaskakiwać.

Czyżby teraz, po latach, zaczynała ją męczyć własna odmienność? George przymknęła powieki. Może uda się jej chwilę zdrzemnąć, zanim dotrą na miejsce wypadku.

– Obudź się. Koniec spania! George oprzytomniała natychmiast.

– Jak daleko jesteśmy?

– Przełącz Minchin. – Helikopter zataczał kręgi nad porośniętym wysoką trawą terenem. Lecieli tak nisko, że poźółkłe źdźbła kładły się na ziemi pod wpływem zawirowań powietrza wywołanych przez śmigła. – Staramy się odnaleźć szlak.

– Trochę niski pułap chmur, nie?

– Owszem. – Pozornie spokojny głos Teda zdradzał jednak pewne napięcie. – I coraz gorsza widoczność.

George odpięła pas bezpieczeństwa.

– Przygotuję torbę podręczną. Nie ma co tracić czasu na spuszczenie dodatkowego sprzętu na linie. Myślisz, Murray, że łupki, opatrunki i zestaw do wlewu dożylnego

wystarczą?

– Zabierz jeszcze dziesiątkę morfiny i trochę maxolonu. Jak będziesz na dole, załóż mu tylko wenflon i podaj środki przeciwbólowe. Z podaniem płynów infuzyjnych można zaczekać, aż go wciągniemy na pokład.

– Kładziemy go na nosze, czy wystarczy siodełko?

– Weź siodełko. W końcu to tylko złamanie. George dokończyła pakowanie, przypięła sobie torbę do pasa na biodrach i wróciła na miejsce.

– Jest szalas pasterski nad Taramakau, widzisz? – Murray wskazał drobny punkt w dole.

Przez dłuższą chwilę lecieli wzdłuż rzeki.

– Widzę potok. Kierunek północny wschód. Pięćset metrów.

– Rozumiem. – Ted wykonał szybki skręt w prawo i oczom George ukazał się wąski, zarośnięty strumień.

– Uwaga, coś widzę. Jeszcze około stu metrów na wschód.

Usiłowała nie zwracać uwagi na pogarszające się warunki. Szkoda by było teraz przerywać akcję, ale w podobnych sytuacjach najważniejsze było bezpieczeństwo załogi i śmigłowca. Decyzja należała do pilota.

– Cel zlokalizowany. – Ted też dostrzegł na głazach sylwetkę mężczyzny powiewającego w ich kierunku jaskrawoczerwoną koszulą. Ranny leżał nieco dalej nad brzegiem potoku. W gęsto zalesionym terenie skalna platforma, na której znajdowali się mężczyźni, stanowiła jedyne dostępne dla ratowników miejsce.

– Ustawiam się pod wiatr – poinformował pilot.

– Dobra. Sprawdzam siłę wiatru. – Murray skupił uwagę na urządzeniach pomiarowych.

– Ustawiam się w pozycji do opuszczania. Gotowe. Murray odsunął drzwi śmigłowca.

– Wciągamy hak na pokład.

George przytwierdziła potężny hak do karabińczyka opasującego ją siodełka i dokładnie sprawdziła zapięcia. Podniesionym kciukiem pokazała koledze, że jest gotowa do akcji.

– Jesteśmy przy drzwiach. Przygotowuję się do wyjścia.

Aby bezpiecznie opuścić koleżankę, Murray sam też musiał stanąć na płozie, gdyż jedynie stamtąd był w stanie regulować odpowiednie ułożenie liny. Z tego względu pilot musiał ustawić śmigłowiec pod odpowiednim kątem, bowiem nierównomierne rozłożenie wagi groziło ryzykownym odchyleniem maszyny od pionu.

– Gotowe. Możecie zaczynać.

Zeskoczywszy z płozy, George zawisła w powietrzu około trzech metrów pod helikopterem. Z tej pozycji nie widziała miejsca, w którym miała wylądować. Musiała całkowicie zdać się na Murraya, który kontrolował położenie liny i powoli opuszczał ją na głazy. George zacisnęła powieki. Z coraz większym trudem przychodziło jej opanowywać lęk towarzyszący jej w takich chwilach od czasu pamiętnego wypadku.

– Jak tam u ciebie? De zostało metrów? – Gdzieś wysoko nad jej głową zabrzmiał głos kolegi.

Co prawda Ted dokładnie wiedział, na jakiej wysokości się znajdują, a Murray potrafił co do centymetra określić długość odwinętej już liny, ale kiedy George znalazła się zaledwie

kilka metrów nad ziemią, jedynie ona mogła powiedzieć, kiedy dotknie stopą kamieni.

Głazy były mokre i śliskie, lecz mimo to zdołała zachować równowagę. Szybko odpięła hak i uniesionymi kciukami pokazała koledze, że wszystko w porządku. Murray podciągnął linę i śmigłowiec zaczął nabierać wysokości.

Wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Lodowaty wiatr smagał ją coraz silniej po twarzy, widoczność pogarszała się z minuty na minutę. Szybkim krokiem ruszyła w dół potoku w kierunku rannego. Po drodze rzuciła tylko pobieżnie spojrzenie na kierującego się w jej stronę mężczyznę.

– Ma pan na imię John, prawda? – zawołała, przekrzykując warkot śmigłowca. – Zauważył pan jakąś zmianę w stanie Dougala?

– Raczej nie. – O dziwo jego głos pozbawiony był szkockiego akcentu. – Ale im szybciej znajdzie się w szpitalu, tym lepiej. Bardzo cierpi.

– Zaraz coś na to poradzę. – George przyklękła przy rannym lekarzu. – Dobry wieczór, Dougal. Jestem z pogotowia lotniczego. Na imię mi George. Jak się czujesz?

– Teraz, skoro tu jesteś, już lepiej – odrzekł, przyglądając się ze zdziwieniem twarzy ukrytej częściowo pod hełmofonem. – Myślałem, że przyślą mężczyznę.

– Jestem jedyną kobietą w zespole – roześmiała się. – Jakoś nie mieliśmy okazji poznać się lepiej w izbie przyjęć – powiedziała, zdejmując skórzane, lotnicze rękawiczki. – Co ci najbardziej dokucza?

– Ból w nodze – jęknął.

– A głowa? – zapytała, ostrożnie obmacując mu czaszkę. Pod zlepionymi zaschniętą krwią włosami wyczuła obrzmiałe stłuczenie.

– Trochę boli, ale to nic w porównaniu z rwaniem w podudziu.

– Straciłeś przytomność?

– Tylko na chwilę. W każdym razie świetnie pamiętam, kto jest teraz premierem, jeśli o to ci chodzi.

George uśmiechnęła się.

– Wiem, że nie próbowałbyś ukrywać żadnych neurologicznych objawów. A co z szyją?

– W porządku.

– Jakież problemy z oddychaniem?

– Trochę boli, ale to chyba tylko stłuczenie. George skinęła głową. Na dokładniejsze badanie będzie czas, kiedy pacjent znajdzie się na pokładzie śmigłowca. Teraz musi przede wszystkim podać mu środki przeciwbólowe. Kiedy zaczną działać, usztywni złamaną nogę i przygotowuje chorego do drogi.

– Jesteś uczulony na jakieś leki?

– Nie.

– W takim razie założę wenflon i wstrzyknę ci nieco morfiny, żeby uśmierzyć ból.

– Jesteś wspaniała. – Dougal spojrzał na nią z bezgraniczną wdzięcznością. – Myślałem, że przyjdzie mi czekać, aż się stąd wydostaniemy.

– Bardziej po ludzku będzie cię choć trochę znieczulić, zanim zaczniemy cię ruszać. A co z ręką? – zapytała, patrząc na chusteczkę owiniętą ciasno na przedramieniu pacjenta.

– Trzeba będzie założyć ze dwa szwy. Ale na szczęście przestała krwawić.

– W porządku. Zajmiemy się tym później.

Dougal zdrową ręką z uznaniem uściśnął jej dłoń.

– Naprawdę nie przypuszczałem, że będzie się mną zajmowała kobieta. – Spojrzał nad jej ramieniem na przyjaciela. – I co ty na to, Max? Nasz George okazał się babą.

Max? Przecież powiedział, że ma na imię John. Poczula, że serce zamiera jej w piersiach. Nie, to po prostu niemożliwe.

Odwróciła głowę i spojrzała na nieznanego, którego twarz skrywała wełniana kominiarka. Usta okalał kilkudniowy zarost, ale oczy były równie ciemne jak niegdyś. A teraz, kiedy warkot krążącego nieopodal śmigłowca nieco przycichł, głos przybysza wydał się George dziwnie znajomy.

– Od początku o tym wiedziałem. I muszę stwierdzić, że wcale się nie zdziwiłem. Przeczuałem, że się tu pojawi.

– Nie rozumiem. – Dougal nie ukrywał zaskoczenia.

– Powiedziałaś, że masz na imię John? – zachnęła się, choć wiedziała, że jej złość jest całkowicie pozbawiona podstaw. Przecież nie kłamał. Rzeczywiście nazywał się John, John Maxwell. A dla znajomych Max. Jak to możliwe, że nie rozpoznała go od razu? Przecież niegdyś znaczył dla niej o wiele więcej niż przyjaciel. – Nawet mi do głowy nie przyszło, że mogę cię tu spotkać.

– Zaczekajcie chwilę. – Dougal spróbował unieść się na ramieniu, ale zaraz z jękiem opadł na ziemię.

George szybko odpięła torbę przytwierdzoną do pasa.

– Nie ruszaj się – poleciła. – Zaraz podam ci leki.

– Nie, poczekaj – zaprotestował. – Najpierw mi coś wyjaśnicie. Mam rozumieć, że się znacie?

– Można to tak określić. – Podciągnęła mu rękaw koszuli i założyła opaskę uciskową. – Choć właściwie należałoby powiedzieć, że się kiedyś znaliśmy.

– Pięć lat temu – wyjaśnił Max. – Przecież opowiadałem ci o niej, kiedy przyjechałem do Glasgow, a ty pytałaś 6 nowozelandzkie dziewczyny.

– Tak, ale mówiłaś wtedy... – Dougal patrzył z uwagą, jak George przygotowuje wenflon. W końcu wygiął usta w pełnym niedowierzania uśmiechu. – Ale to niemożliwe. Czyżbyś była...

– Czyżbym była kim?

– A jednak... – W oczach Dougala zaśniły rozbawione ogniki.

– Kim? – powtórzyła. Ciekawe co też Max, wkrótce po zerwanych zaręczynach, naopowiadał na jej temat nowo poznanemu koledze? Sądząc z wyrazu twarzy Dougala, nie mogło to być nic miłego. – Wyrzuć to wreszcie z siebie, żebyś mogła się zabrać do pracy.

– Kobieta pajakiem.

– Słucham? – Gdyby nie ostrzegawcze mruknięcie Maxa, pomyślałaby, że się przesłyszała.

– Kobieta pajakiem – powtórzył Dougal. – Ale dopiero teraz zrozumiałem, co miał na

myśli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kobieta pajak?!

– Auu! – Dougal tak gwałtownie cofnął rękę, że igła wyskoczyła mu z żyły.

– Przepraszam, ale jako lekarz powinieneś wiedzieć, że nie wolno ci się poruszyć. – Głos George brzmiał może nieco zbyt szorstko. – Teraz muszę zaczynać wszystko od nowa.

– To ja przepraszam. – Ranny uśmiechnął się rozbrajająco. – Ale zwykle to ja trzymam strzykawkę. Straszny ze mnie bidulek.

George nie odwzajemniła uśmiechu. W uszach wciąż dźwięczały jej usłyszane przed chwilą słowa. Kobieta pajak! Też coś. Wprawnymi palcami zlokalizowała na przedramieniu Dougala odpowiednie miejsce do wkłucia.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – zapytał Max takim tonem, jakby nie mógł pojąć, dlaczego za pierwszym podejściem nie podołała tak prostemu zadaniu.

– Nie, dziękuję – prychnęła.

Tym razem bez problemu założyła wenflon, po czym nabrała w strzykawkę odpowiednią dawkę morfiny i wstrzyknęła ją pacjentowi.

– Kobieta pajak – syknęła pod nosem.

Max wyraźnie starał się udąć zmieszanie. Tymczasem George nie spuszczała wzroku z rannego. Musiała się upewnić, czy po podaniu leku nie nastąpi reakcja alergiczna.

– Max nigdy nie mówił mi, czym się zajmujesz. – Dougal jakby próbował się usprawiedliwiać. – Sugerował tylko, że zamiast niego wybrałaś karierę. Dlatego zawsze wyobrażałem sobie, że jesteś jedną z tych kobiet interesu, które, wyposażone w aktówkę i komórkę, wspinają się po drabinie biznesu.

– Ból zaczyna słabnąć? – spytała rzeczowo.

– Zdecydowanie.

– Jak byś określił jego natężenie na skali od jednego do dziesięciu?

– Mniej więcej na dwójkę.

– To dobrze. – Wyjęła strzykawkę z wenflonu. – Dostałeś tylko trzy miligramy. Gdyby zaczęło cię bardziej boleć przy zakładaniu szyny, będziemy mogli podwoić dawkę.

– Nie będzie takiej potrzeby. Już usztywniłem mu nogę – oznajmił Max.

– Przy pomocy patyka?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to dwóch.

– To otwarte złamanie, prawda? – George za nic w świecie nie chciała dać po sobie poznać, jakie wrażenie wywarł na niej widok perfekcyjnie opatrzonej kończyny. – Założyłeś sterylny opatrunek?

– Przykryłem ranę jałową gazą, bo nic innego nie miałem pod ręką – wyjaśnił tym razem z mniejszą pewnością siebie. – Ale nie mogłem jej niczym odkazić.

– Możemy z tym poczekać – zdecydowała. Gwałtowny podmuch wiatru i coraz bardziej rześisty deszcz wzbudziły jej niepokój. Popatrzyła na niebo. Czarne, burzowe chmury zbliżały się w ich kierunku z zatrważającą szybkością. Jakby w odpowiedzi na jej obawy, w

sluchawkach helmofonu rozległ się głos Murraya.

– Posłuchaj, George, będziecie musieli tam zostać. W tych warunkach nie możemy ryzykować.

Nawet nie próbowała protestować. Przecież Ted nie zdecydowałby się na przerwanie akcji, gdyby nie było to naprawdę konieczne.

– Opuszczę ci worki z niezbędnym sprzętem – ciągnął Łoś. – Postaram się trafić w to samo miejsce, w którym wylądowałaś. Jesteś gotowa na przyjęcie?

– Zaczynajcie.

George skierowała kroki ku głazom. Wiatr był tak silny, że pilot miał wyraźne problemy z utrzymaniem śmigłowca w odpowiedniej pozycji. Przytwierdzone do końca liny worki huśtały się niebezpiecznie. Aby uniknąć uderzenia ciężkim ładunkiem, George praktycznie położyła się na skałach. Dopiero wtedy zauważyła, że Max, który podążył jej śladem, nawet się nie pochylił.

– Na kolana! – wrzasnęła, przekrzykując warkot silnika. – Życie ci niemiłe, idioto?

– Ładunek opuszczony – poinformował Murray. – Musisz się spieszyć...

Ślizgając się na mokrych kamieniach, George dotarła do worków, odpięła hak i dała załodze znak, że mogą już wciągnąć linę. Chwilę później śmigłowiec zaczął się oddalać.

– Przykro nam, George, ale nie było wyjścia. Do zobaczenia rano.

– Baw się dobrze na urodzinach córki...

Jeszcze przez kilka sekund wpatrywała się w niebo. Sytuacja, w jakiej się znalazła, była nie do pozazdroszczenia. I to nie ze względu na pacjenta. George wiedziała, że ma wszystko, co potrzeba, by zapewnić mu bezpieczeństwo. To perspektywa spędzenia nocy w kompletnej głuszy w towarzystwie Johna Maxwella napawała ją przerażeniem.

– Dokąd, do cholery, on leci? – Max z osłupieniem patrzył na znikający w oddali helikopter.

– Wciąganie Dougala na pokład byłoby w tej chwili zbyt niebezpieczne.

– Ale jakoś udało się im opuścić worki.

– Przyznasz chyba, że to nie to samo. – George zaczynała tracić cierpliwość. – Gdyby spadły na ziemię albo zaplątały się w gałęzie, nic wielkiego by się nie stało. Ale podnoszenie rannego byłoby zbyt ryzykowne.

– Wydawało mi się, że podejmowanie karkołomnych wyzwań jest stałym elementem tej pracy. Że właśnie to cię w niej pociąga.

– Owszem, codziennie mamy do czynienia z ryzykiem. Ale nigdy nie ryzykujemy bezmyślnie. Czyżbyś nas miał za idiotów? – odrzekła spokojnie i odrzuciwszy propozycję pomocy, zarzuciła na plecy większy z worków, dźwignęła z ziemi drugi i ruszyła w kierunku pacjenta.

Nie miała czasu do stracenia, gdyż niebo właśnie przecięła błyskawica, a zaraz potem rozległ się grzmot.

– Nie martw się – powiedziała z satysfakcją, widząc, że na twarzy Maxa maluje się głęboki niepokój. – Jestem odpowiednio przygotowana do tego rodzaju akcji.

Chmurne spojrzenie, jakim ją obdarzył, zdradzało wyraźnie, iż bynajmniej nie zachwyca

go fakt, że to ona przejęła dowodzenie. Szedł za nią w milczeniu ze spuszczoną głową. Deszcz rozpadał się już na dobre.

– I dokąd to odleciała moja taksówka? – Dougal mimo wszystko próbował żartować.

– Niestety, zrobiło się zbyt niebezpiecznie, żeby można było cię teraz stąd zabrać. Będziemy musieli zostać tu na noc. Jeżeli pogoda się poprawi, przylecą po nas o świcie, a jak nie, rozpoczną akcję naziemną. – George przykucnęła przy rannym.

– Wybrałem nie najlepszą porę na wypadek, co?

– W każdym razie nie masz się czego obawiać. W tych workach jest wszystko, czego możemy potrzebować. Obiecuję, że będzie nam całkiem wygodnie – zapewniła. – Przede wszystkim musimy gdzieś się schronić. Nie macie przypadkiem namiotu?

– Nie. Zatrzymywaliśmy się w szałasach.

– A śpiwory i kocher?

– Oczywiście, że tak. Czyżbyś rzeczywiście miała nas za idiotów? – odciął się Max.

– To dobrze. – Podniosła się. – Ułożymy wiatrochron z gałęzi, a potem przymocujemy do niego brezentową, nieprzemakalną płachtę. Dzięki temu znajdziemy się pod dachem. W worku jest jeszcze mata, z której zrobimy podłogę. Zaczniemy od tego, że przeniesiemy się nieco bardziej w głąb lasu. Tutaj jesteśmy za bardzo wystawieni na podmuchy wiatru. Poza tym niewykluczone, że poziom wody * strumieniu zacznie się niedługo podnosić.

– Zdarzyło ci się już kiedyś spędzić noc wysoko w górach pod gołym niebem? – Max wciąż nie pozbył się wątpliwości.

– Oczywiście – odrzekła. – Mieliliśmy mnóstwo ćwiczeń w ramach szkoły przetrwania.

– Nie pytam cię o ćwiczenia, tylko o to, czy musiałaś się już w takiej sytuacji zajmować pacjentem?

– Porozmawiamy na ten temat kiedy indziej, dobrze? – Wyjęła z worka brezentową pałatkę. – Nakryjcie się tym z Dougalem, a ja tymczasem ustawię wiatrochron.

Zanim Max zdążył zaprotestować przeciw narzuconej mu roli biernego obserwatora, George wzięła się do pracy. Zamieniwszy hełmofon na wełnianą czapkę, weszła między drzewa i znalazła dość gruby zwalony pniak, który mógł posłużyć za podpórę prowizorycznego szałasu.

Ciekawe, jak by zareagował Max, gdyby wiedział, że raz istotnie znalazła się w podobnej sytuacji, tyle że sama występowała wtedy w roli pacjentki? W czasie jednego z treningów lina, po której opuszczała się na ziemię, zaplątała się w koronę drzewa. Gdyby George jej wtedy nie przecięła, śmigłowiec z pewnością runąłby na ziemię. Ale upadek z wysokości kilku metrów skończył się dla niej pęknięciem kręgosłupa. Właśnie wtedy, bezbronna i przerażona, leżała na ziemi, nie mogąc wykonać żadnego ruchu, i czekała na ekipę ratowniczą.

Co by powiedział Max, gdyby znał tę historię? Nie miała wątpliwości, że nie zawahałby się przypomnieć jej ostrzeżeń, jakich nie szczędził jej przecież, gdy zdecydowała się na tak niebezpieczny zawód. Ileż to razy namawiał ją, by porzuciła ambitne marzenia i została przykładną żoną i matką. W żadnym wypadku nie zamierza umożliwić mu wypowiedzenia teraz tego okropnego: „A nie mówiłem...”.

Nie zamierzała też opowiadać mu o dumie, z jaką po ośmiu tygodniach na własnych nogach opuszczała szpital.

Ani o tym, z jakim trudem w ciągu sześciu miesięcy pokonała początkową niesprawność i psychiczne bariery powstrzymujące ją od powrotu do pracy. Przecież gdyby od razu go posłuchała, nigdy nie musiałaby stawiać czoła podobnym wyzwaniom.

Wykonawszy konstrukcję z grubszych gałęzi, George wypełniła otwory liśćmi i mchem, wznosząc całkiem skuteczną osłonę przed wiatrem. Na koniec przywiązała do niej brezentową płachtę i ułożyła matę na ziemi. Powstały w ten sposób szałas z łatwością mógł pomieścić troje dorosłych ludzi. Razem z Maxem wprowadzili do środka wspierającego się na zdrowej nodze Dougala i zdjęli z niego przemoczone ubrania.

– Teraz przeprowadzę dokładniejsze badanie i opatrzę ranę, a potem ułożymy cię wygodnie w śpiworze.

– Nie zgłaszam sprzeciwu.

Skupiła całą uwagę na rannym. Przede wszystkim musiała ustalić, czy obrażenia głowy i klatki piersiowej, jakich doznał, były rzeczywiście niegroźne. Pracowała w napięciu, szczególnie że przez cały czas czuła na sobie baczne spojrzenie lekarza, który spędził ostatnie pięć lat jako konsultant na oddziale urazowym w jednym ze szpitali w Glasgow. Następnie opatrzyła ranę na przedramieniu pacjenta i wreszcie zajęła się strzaskaną nogą. Ostrożnie zdjęła przesiąknięty krwią opatrunek i odsłoniła łydkę.

– Straciłeś sporo krwi – odezwała się po chwili. – A do tego stłuczenie w okolicach żeber jest na tyle silne, że może dojść do obrzęku. Dlatego, jak tylko uporamy się z tym złamaniem, podłączę ci kroplówkę, żeby uzupełnić ubytek płynów. Ale najpierw będę musiała użyć z litr soli fizjologicznej, żeby przepłukać ranę. Nie będzie to zbyt przyjemne, więc jeśli chcesz, mogę zwiększyć dawkę morfiny. Dougal skinął głową.

– Nie pogniewałbym się też za odrobinę metaclopromidu.

– Nie ma sprawy. A co? Zaczynasz mieć nudności?

– Tak jakby.

Max w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Kiedy George skierowała wzrok w jego kierunku, dał dyskretny znak głową, że chciałby porozmawiać z nią na osobności.

– Zaczekaj chwilę, Dougal. Wydaje mi się, że widziałam u ciebie w plecaku manierkę – powiedziała, wstając z kolan. – Podłożymy ją pod zranione miejsce, żeby nie zamoczył śpiwora.

Odchyliła brezentową płachtę i wyszła na zewnątrz.

– No to ja tymczasem zobaczę, czy nie znajdę gdzieś suchych gałęzi, żeby rozpaścić ogień. Nie wiem jak ty, ale ja marzę o kubku gorącej herbaty.

– Obawiam się, że w tych warunkach o żadnym ognisku nie może być mowy – zauważyła, kierując się w strugach deszczu w kierunku gęstych krzaków, pod którymi ukryli plecaki.

– Nawet nie będę próbował. Na szczęście mamy ze sobą kocher. Nie chciałem rozmawiać przy Dougalu – wyjaśnił z poważnym wyrazem twarzy. – Jak dużo płynu możesz mu podać?

– Mam dwie jednostki soli fizjologicznej i jedną haemacelu.

– I zamierzasz zużyć jedną na płukanie rany?

– A mam inne wyjście? – zachnęła się. – Trzeba jakoś pozbyć się tkwiącego w niej żwiru, kawałków kory i Bóg jeden wie czego jeszcze. Im więcej tego świństwa zdołamy usunąć, tym mniejsze będzie ryzyko zakażenia.

– Nie zapominaj, że mógł odnieść jakieś obrażenia wewnętrzne, które jeszcze nie dały o sobie znać. Skąd wiesz, że nie ma pękniętej śledziony?

Mylił się, sądząc, że Gorge nie brała takiej możliwości pod uwagę.

– Na razie wszystkie parametry życiowe utrzymują się w normie. Gdybyśmy mieli do czynienia ze znacznym krwawieniem wewnętrznym, pierwsze objawy musiałyby już do tej pory wystąpić. Tymczasem zarówno puls, jak ciśnienie i częstotliwość oddechu są prawidłowe. Rana na nodze zasklepiła się. – Spojrzała Maxowi prosto w oczy. – Powyżej śledziony wyczułam pewien obrzęk, więc może rzeczywiście doszło tam do niewielkiego wysięku. W takim razie postaram się zużyć tylko pół jednostki do odkażenia rany, a resztę możemy podać mu dożylnie przez kroplówkę – zaproponowała.

– Możemy mu też dawać płyny do picia, bo raczej nie *me* wskazuje na to, żeby w ciągu najbliższych godzin miał *być* poddany zabiegowi. Jak tylko opatrzymy złamanie, zagotuję wodę na herbatę.

Fakt, że Max nie próbował kwestionować jej planów oraz najwyraźniej zamierzał jej pomóc, znacznie podniósł Georgea ducha. Zabrała z plecaka niezbędne przedmioty.

– Obejrzałam dokładnie usztywnienie, które założyłeś Dougalowi. Świetna robota. „

– Nie zamierzasz go wymienić na szynę?

– Nie. – Pokręciła głową. – Patyki są dostatecznie oddalone od rany, żeby jej nie zakazić. Umieszczę tylko pod łydką podpórkę z tektury i zmienię opatrunek.

Znalazszy się z powrotem w szalasie, Max ściągnął wreszcie przemoczoną kominiarkę i powiesił ją na wystającej gałęzi. Przez krótką chwilę George nie była w stanie oderwać wzroku od jego twarzy. Już prawie zapominała o kosmyku naturalnie siwych włosów opadających mu nad lewą skroń. Ostatnimi laty, ilekroć wspominała Maxa, zwykle miała w pamięci jego ciemne, prawie czarne oczy, których dobroduszny wyraz łagodził pewną surowość rysów.

– Masz może rękawiczki w moim rozmiarze? – zapytał.

Rzuciła szybkie spojrzenie na jego ręce. O dziwo, zdążyła już nawet zapomnieć, jak duże i silne ma dłonie. To co czasem wspominała, to ich czuły i ciepły dotyk. Na samą myśl o tamtych chwilach poczuła, że zaczynają ją palić policzki.

– Mam tylko emki. Mogą być trochę za ciasne.

– Przypuszczam, że nawet nie dałbym rady ich wcisnąć. W takim razie może zajmę się „brudną” robotą.

Okazało się, że potrafią stworzyć całkiem zgrany zespół. Max oświetlał latarką zranione miejsce, podczas gdy George przy pomocy płatków gazy i pesety usuwała z niej widoczne gołym okiem zanieczyszczenia. Następnie przepłukała ranę solą fizjologiczną, założyła świeży opatrunek i ułożyła obandażowaną nogę na podwyższeniu, włożyła choremu suchą wełnianą koszulę i otuliła go śpiworem. Mimo że nadal był bardzo blady, wyglądał teraz

zdecydowanie lepiej.

Podczas gdy podłączała kroplówkę, Max napełnił manierkę z wyjętej z plecaka butelki i zagotował wodę. Nie minęło kilka minut, a wrzucił do wrzątku torebki z herbatą.

Gorący płyn, suto zabieleny słodzonym mlekiem z tubki, smakował jak ambrozja.

– Dziękuję, Max – powiedziała, grzejąc dłonie o ciepłe ścianki kubka. – Coś się stało? – zapytała po chwili, dostrzegłszy na twarzy mężczyzny dziwny, nie znany jej dotąd wyraz.

– Nie. Po prostu po raz pierwszy dzisiaj raczyłaś mnie obdarzyć uśmiechem.

– Przedtem nie miałam szczególnych powodów – odrzekła. – Ale tym – wskazała na parującą herbatę – kompletnie mnie podbiłeś.

– Poczekaj, a może przy odrobinie szczęścia zdołam ci zaserwować kolację.

– Pieczeń rzymską? – zapytała uszczypliwie, zanim zdążyła pomyśleć. – Aż tak głodna to chyba nie jestem.

– Niestety, w sklepie z zaopatrzeniem dla turystów nie mieli pieczeni w proszku – odezwał się Dougal, któremu gorąca herbata też najwyraźniej poprawiła samopoczucie. – A mogłaby być całkiem dobra.

– O ile się nie mylę, George co innego miała na myśli. Nigdy nie miała zbyt wysokiego mniemania o moich talentach kulinarnych.

– Jedynie o twojej pieczeni.

– A dałem ci szansę spróbować czegokolwiek innego?

– To dobre pytanie. – George uśmiechnęła się cierpko. – Prawdę mówiąc, nie bardzo sobie przypominam.

– Bo i nie masz czego. Na szczęście od tamtej pory udało mi się nieco nauczyć. – Max przeniósł spojrzenie na przyjaciela. – Kiedy przyszło mi dzielić mieszkanie z Dougalsa musiałem zacząć gotować, żeby nie umrzeć z głodu.

– Co ty gadasz? – zaprotestował Szkot. – Jestem świetnym kucharzem.

– Nie przeczę. Ale jak często można jeść kaszankę na zmianę z salcesonem?

– Tylko nie to! – George zaczynał udzielać się dobrym nastrój. – Proszę nie wymieniać tego słowa w mojej obecności.

Na dźwięk jej głosu twarz Maxa przybrała chmurny wyraz. Najwyraźniej nie zamierzał zbyt szybko wybaczyć jej złośliwej uwagi na temat owej nieszczęsnej pieczeni. Tymczasem Dougal zdawał się nie dostrzegać panującego między nimi napięcia.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że ty właśnie jesteś ową kobietą pająkiem – oznajmił wesoło. – Zdajesz sobie chyba sprawę, że złamałaś Maxowi serce.

– A jakże – mruknęła, zanurzając usta w herbacie.

– W ogóle przestały go interesować kobiety.

George nie odpowiedziała. Czy to możliwe? Czyżby, podobnie jak ona, Max nie potrafił znaleźć nikogo, kto wypełniłby tę szczególną pustkę w jego sercu?

Nie kazał jej długo czekać na odpowiedź.

– Zapomniałaś o Rowenie? Przecież chodziłem z nią całe trzy lata.

– Niby tak – odpowiedział Dougal sennym głosem, który zapewne należało przypisać krążącej w jego żyłach sporej dawce morfiny. – Jak ona pięknie robiła na drutach...

– Max musiał być w siódmym niebie. – George znowu nie zdążyła ugryźć się w język. – Miła żoneczka siedząca w domu i dziergająca śliczne bamboszki.

– No nie! – roześmiał się ranny. – Obawiam się, że Rowena nawet nie wie, co to takiego. Jej specjalnością są swetry. Max właśnie ma jeden z nich na sobie.

George oszacowała wzrokiem puszysty, beżowy pulower. Obrzydliwy, pomyślała. Co najmniej o połowę za strojny.

– A jeśli chodzi o siedzenie w domu – ciągnął Dougal, jakby pod wpływem narkotyku całkiem stracił wyczucie sytuacji – to Rowena jest Angielką w każdym calu. Wychowała się w bogatej ziemiańskiej rodzinie. Pewnie stąd wzięto się jej zamiłowanie do wędrówek na łonie przyrody. Nie ma w Szkocji chyba jednej góry, której by nie zdobyła. Wiesz, taki typ harcerki.

– Rozumiem. Krótko ostrzyżona i zapięta pod szyję.

– Ależ skąd. To wspaniała kobieta. – Dougal Donaldson rozkręcił się na dobre. – Burza kasztanowych włosów, zielone oczy. Połowa chłopaków się w niej kochała, ale Rowena zagięła parol na naszego Maxa. Właściwie nie rozumiem, dlaczego jej tu nie przywiozłeś. Oszalałaby na punkcie Nowej Zelandii.

– Nie widziałem się z nią od dłuższego czasu – wyjaśnił Max obojętnym tonem. – Wzięła urlop i pojechała do domu żeby zająć się ojcem po wylewie.

– To znaczy, że Rowena jest pielęgniarką? – George wtrąciła się do rozmowy.

– Nie. Pracuje jako chirurg na neurologii. Powinam była się tego spodziewać, pomyślała. Piękna, wykształcona kobieta, która chodzi po górach, dziergając po Aodze męskie swetry o skomplikowanych ściegach. Nie była jedynie w stanie zrozumieć wielce nieprzyjemnego uczucia zazdrości, które zawładnęło nią z całą mocą. Czyżby łudziła się, że po ich rozstaniu Max będzie wiódł żywot pustelnika?

– Czas, żebym ci znowu zmierzyła ciśnienie, Dougal – rzekła po chwili milczenia. – Minęła już chyba godzina.

Upewniwszy się, że stan pacjenta nie uległ pogorszeniu, włączyła nadajnik i połączyła się z bazą. Ucieszyła się na wieść o spodziewanej poprawie pogody. Jeśli przewidywania się spełnią, śmigłowiec winien dotrzeć do nich wkrótce po wschodzie słońca. Dowiedziała się jeszcze, że Murray i Ted bezpiecznie wrócili do domu, po czym wyłączyła nadajnik i przykucnąwszy w pobliżu latarki, zabrała się za wypełnianie raportu. Podczas gdy opisywała obrażenia, jakich doznał pacjent, oraz zastosowane w trakcie akcji leczenie, Max w milczeniu przygotowywał kolację. Zalał wrzątkiem sos z torebki, a w pozostałej w manierce wodzie ugotował makaron. Dougal, który po ostatnim badaniu zapadł w drzemkę, otworzył oczy w chwili, gdy Max nakładał parujące jedzenie na talerze.

– Mam nadzieję, że spaghetti bolognese zaspokoi wymogi twojego podniebienia – zwrócił się do George.

– Wygląda świetnie. – Wiedziała, że zasłużyła sobie na ów sarkastyczny ton. – Dziękuję – dodała z uprzejmym uśmiechem.

Przez krótką chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, ale napięcie było tak silne, że szybko odwróciła wzrok.

- Jak się teraz czujesz, Dougal? – Przeniosła spojrzenie na rannego.
- Znowu zaczyna dokuczać mi noga.
- A poza tym?
- Dosłownie pęka mi głowa.

George odstawiła talerz, sięgnęła po małą latarkę i przykłęknęła przy pacjencie.

– Przepraszam, ale znów muszę poświecić ci w oczy. Na szczęście źrenice były równej wielkości i normalnie reagowały na światło. Nie zauważyła też żadnych niepokojących oznak, gdy poprosiła pacjenta, by przez chwilę wodził wzrokiem za jej palcem. Guz na głowie znacznie się zmniejszył, a zabarwienie skóry wokół oczu i uszu nie odbiegało od normy.

– Nie mogę oczywiście wykluczyć pęknięcia czaszki, ale dzięki Bogu nie widzę żadnych oznak krwawienia podtwardówkowego. – Uśmiechnęła się pocieszająco. – Ale skoro uderzenie było tak silne, że straciłeś przytomność, pewnie doszło do wstrząśnienia mózgu. Podejrzewam, że ból głowy utrzyma się jeszcze przez kilka dni.

Zerknęła na zegarek.

– Ostatnią dawkę morfiny dostałeś ponad cztery godziny temu. Jeśli chcesz, mogę ci podać następną.

– Będę ci szczerze zobowiązany. – Dougal poprawił się na pościeli.

– Może ja to zrobię – zaproponował Max. – A ty weź się w końcu za jedzenie, bo zaraz ci kompletnie wystygnie.

George nie protestowała. Sprawdziwszy odruchowo datę ważności na opakowaniu, podała Maxowi ampułki i przykrywszy się śpiworem, sięgnęła po talerz.

– Lubię kobiety, które potrafią jeść ze smakiem – powiedział Dougal po chwili.

– To spaghetti jest naprawdę rewelacyjne. Muszę przyznać, że tym razem mi zaimponowałaś.

– Przypuszczam, że byłaś tak głodna, że skusiłabyś się nawet na pieczeń rzymską. – Max wzruszył ramionami. – Ale i tak miło mi to słyszeć.

– Chciałbym też poczuć apetyt, ale na razie nie przełknąłbym nawet plasterka mojego ulubionego szkockiego salcesonu.

– To może przynajmniej napijesz się herbaty – zaproponowała George. – Nie sądzę, żebyś miał zabieg przed dziesiątą, więc na razie nie musisz być na czczo.

– Bardzo chętnie. A gdybyś dołała rai do niej jeszcze odrobinę whisky, pewnie spałbym do rana jak dziecko.

– Wystawię przed szafas manierkę i nałapię świeżej wody. Sądząc z tego, jak leje, nie powinno to potrwać zbyt długo.

Dopiero kiedy Dougal wspomniał o śnie, George uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Ziewnęła przeciągle.

– Zdajesz sobie sprawę, że przez całą noc któreś z nas będzie musiało czuwać... – Max zauważył jej znużenie.

– Oczywiście.

– Ale, jak widzę, już teraz kleją ci się oczy.

– Nie obawiaj się. – Przybrała obronną postawę. – Dam sobie radę. Ale rzeczywiście

jestem trochę zmęczona. W końcu zaczęłam dyżur prawie osiemnaście godzin temu.

– Wcale cię nie krytykuję. Chciałem tylko zaproponować, żebyś spróbowała się zdrzemnąć. Z chęcią posiedzę przy Dougalu.

– Dzięki, ale nie ma takiej potrzeby – mruknęła pod nosem. Niech wie, że nie ma w zwyczaju spania w czasie pracy. Może powinna jeszcze zacząć uskarżać się na kłopoty z kręgosłupem i coraz silniejszy ból głowy? Przenigdy! W końcu po to, żeby wykonywać ten zawód, poświęci swój związek z Maxem.

Dougal pił świeżo zaparzoną herbatę z wyraźną przyjemnością.

– Jak tak dalej pójdzie, zaczniesz mi się tutaj podobać – obwieścił.

George nie mogła powiedzieć tego samego o sobie. Rozważyła możliwość łyknięcia aspiryny, ale na myśl, że być może przysłoby jej tłumaczyć, dlaczego zażywa lekarstwo, odrzuciła ten pomysł. Może jeśli ściągnie gumkę ciasno okręconą wokół końskiego ogona, ból głowy nieco zelżeje. Zdjęła czapkę i rozpuściła włosy. Kiedy potrząsnęła głową, czarne loki spłynęły jej na ramiona.

– Widzę, że zmieniłaś fryzurę – zauważył Max z pewną przyganą w głosie.

Wzruszyła ramionami. Nadąsana twarz byłego narzeczonego wcale jej nie dziwiła. Odkąd się poznali, nalegał, by zmieniła uczesanie na mniej chłopięce, ale ona wciąż trwała przy swoim i jak najkrócej przystrzygała włosy.

– A mnie się podoba. – Dougal najwyraźniej opacznie zrozumiał uwagę kolegi. – A tak w ogóle – ciągnął, nie spuszczać z niej wzroku – jak właściwie masz na imię? Georgia, Georgette?

– Georgina – odparła niechętnie. – Ale tylko najbliższej rodzinie uchodzi na sucho odzywianie się do mnie po imieniu.

– I to tylko dlatego, że nijak nie potrafi wybić im tego z głowy – roześmiał się Max. – Wierz mi, że gdybyś chodził z George do szkoły, gorzko byś żałował, gdybyś chociaż użył jej imienia w pełnym brzmieniu.

– Naprawdę? Byłaś aż tak ostra?

– Chyba tak. Ale to nie moja wina. Okoliczności mnie do tego zmusiły.

– Niebawem. – Dougal słuchał z coraz większym zaciekawieniem. – Opowiedz nam o tym.

– Moja mama urodziła trzech synów – zaczęła George, doszedłszy do wniosku, że oderwanie się myślami od wypadku dobrze mu zrobi. – Razem z tatą chłopcy stworzyli taki męski klub, w którym mama pełniła rolę szczęśliwej gospodyni. Ja pojawiłam się na świecie w osiem lat po najmłodszym z braci i moja mama nagle zrozumiała, że przez całe życie marzyła o małej dziewczynce, której mogłaby pleść warkoczyki i wkładać śliczne sukieneczki.

– I mogłaby się nią cieszyć jak lalką. Rozumiem. Podczas gdy Dougal z wyraźną przyjemnością słuchał snutej przez George opowieści, Max ułożył się w śpiworze obok przyjaciela i utkwiał wzrok w brezentowej ścianie. Znał tę historię na pamięć.

– Miała chyba ze dwieście wstążeczek, które mi wplatała we włosy. I puszkę po ciastkach pełną różnych spineczek w kwiatki, motylki, kropeczki i tak dalej.

– Większość z nich różowych?

– Oczywiście – roześmiała się. – Miałam chyba siedem lat, jak zwałłam mamie krawieckie nożyczki, ukryłam się w żywopłocie i ścięłam włosy najkrócej jak mogłam. Tak, żeby nie utrzymała się na nich żadna spinka. Mama płakała przez tydzień, ale za to ja byłam bardzo szczęśliwa. Strasznie chciałam wyglądać jak chłopak.

– Ale dlaczego?

George westchnęła. Najwyraźniej Dougal też nic nie rozumiał. Całkiem jak jej rodzina, i jak Max.

– Nigdy nie wolno było mi robić tego, co chciałam, bo nie byłam chłopcem. Nie mogłam rzeźbić w drewnie, grać w rugby ani bębnić na perkusji. Wszyscy na okrągło powtarzali, że dziewczynkom nie wypada się tym zajmować. Nawet bracia chcieli mieć tylko małą siostrzyczkę, którą mogliby się chwalić przed kolegami. W końcu mamę zaczęło złościć i to, że nie chcę się podporządkować. Wciąż dopytywała się, dlaczego chcę się stać chłopakiem.

– I co jej odpowiadałaś?

– Zawsze to samo. Ze wcale nie pragnę być chłopcem, tylko po prostu chcę być sobą.

– Całkiem słusznie.

Na widok zmarszczonych brwi Maxa, który sprawiał w tej chwili wrażenie, jakby próbował coś zrozumieć, George poczuła lekkie zmieszanie.

– W każdym razie – dodała z udawaną wesołością – moje dzieciństwo było jak pole bitewne. Przegrałam, jeśli chodzi o lekcje baletu i gry na pianinie, ale udało mi się wywalczyć prawo do krótkich włosów i konnej jazdy. Mama jednak ani razu nie przyszła zobaczyć, jak jeżdżę. Twierdziła, że to zbyt niebezpieczny sport dla dziewczynki.

– Nikt nie potrafi jej dorównać na koniu – wtrącił niespodziewanie Max. – Czy to w wyścigach, czy w pogoni za lisem, a nawet w skokach. Nie ma takiego konia, którego by nie okiełznała.

Skromnie spuściła wzrok. Nieoczekiwane słowa uznania sprawiły, że poczuła przyływ tęsknoty.

– Nadal jeździsz? – zapytał Max cichym głosem. Pokręciła głową. Wypadek zmusił ją do pożegnania się z jeździectwem. Z czasem pozwałała sobie jedynie na spokojną przejażdżkę na własnej, leciwej szkapie.

– Kiedy jeszcze byliśmy razem, wynajęliśmy dom na farmie na obrzeżach miasta – wyjaśnił Max przyjacielowi. – George mogła tam trzymać konia. To było nieprawdopodobne miejsce. Sam dom miał ze dwadzieścia pokoi. Przed nami mieszkała w nim samotna, nieco zwariowana staruszka. Przed laty jej przodkowie prowadzili tam plantację. Krewni w końcu umieścili ją w pensjonacie i wynajęli nam całą rezydencję za jakieś marne grosze. Była strasznie zaniedbana, bo od dobrych pięćdziesięciu lat nikt w niej niczego nie zmieniał. – Przeniósł spojrzenie na George. – Gdzie teraz mieszkasz? – zapytał.

– Kupiłam dom – odparła z nadzieją, że nie będzie dalej drążył tematu.

Nie zamierzała mu wyjaśniać, że pół roku po jego wyjeździe starsza pani zmarła, a jej jedyni żyjący krewni, mieszkający na stałe w Australii, wystawili zrujnowaną posiadłość na sprzedaż. A że akurat spadły ceny nieruchomości, zdołała ją kupić. Przez ostatnie pięć lat

nieustannie remontowała szacowne wnętrza. Gdyby Max dowiedział się, do kogo teraz należy ich dawny dom, z pewnością chciałby złożyć jej wizytę, a na to akurat nie miała najmniejszej ochoty.

Dougal najwyraźniej robił się senny, jednak George nie mogła się zdecydować, czy powinna mu pozwolić na drzemkę. W trakcie rozmowy o wiele łatwiej jest kontrolować stan pacjenta. Poza tym, gdyby sama przestała mówić, trudniej przychodziłoby jej czuwanie.

– Mój zawód też jest wynikiem kompromisu – odezwała się po chwili. – Chciałam zostać lekarzem, ale dwóch z moich braci zdążyło już skończyć medycynę. Trzeci został prawnikiem. Jak byłam w szkole, rodzina starała się mnie zniechęcić do przedmiotów ścisłych, ale zemściłam się na nich, kończąc fizykę na uniwersytecie, i podjęłam pracę jako nauczycielka w szkole średniej.

– Więc jakim cudem wylądowałaś w końcu w ratownictwie?

George uśmiechnęła się przewrotnie.

– Nigdy nie powiedziałam o tym mamie, ale w tej szkole nie tylko uczyłam fizyki, ale jednocześnie trenowałam drużynę rugbyistów. Takich trochę nieudaczników, którzy nie mieli szansy załapać się do reprezentacji szkoły. To były naprawdę fajne dzieciaki. Niezwykle ambitne. Podczas jednego z treningów doszło do wypadku. W czasie walki o piłkę jeden z chłopców doznał urazu kręgosłupa. Przyjechało pogotowie i pojechaliśmy do szpitala. Trzy tygodnie później zrezygnowałam z pracy w szkole i zaczęłam jeździć karetką.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Dwadzieścia trzy.

– A teraz?

– Trzydzieści pięć.

– I wciąż się naraża, żeby ratować innych – zauważył Max zrezygnowanym tonem.

– Na razie nie mam lepszego pomysłu na życie.

– Oczywiście. – Tym razem głos Maxa był pełen goryczy. – Bo normalne życie nie dostarcza ci dostatecznie silnych wrażeń.

Normalne życie? Z nim? W charakterze jego żony? Matki jego dzieci? George uznała, że najwyższy czas skierować rozmowę na inne tory.

– Jesteś w Nowej Zelandii od niedawna, prawda? – zwróciła się do Dougala. – Jak ci się u nas podoba?

– Bardzo – odrzekł bez cienia wahania. – Tak bardzo, że w ogóle nie zamierzam wracać do Szkocji.

– Słucham? – Max nie wierzył własnym uszom. – Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej.

– Czyli co? Chcesz wystąpić o prawo stałego pobytu?

– Albo ożenić się z miejscową dziewczyną. – Dougal rozchylił usta w szerokim uśmiechu. – I coraz bardziej podoba mi się ten pomysł. Obecna tu George jest wręcz idealną kandydatką na żonę.

– Zmienisz zdanie, jak przestanie działać morfina – zaśmiała się krótko.

– W żadnym wypadku. Jesteś piękna, odważna, inteligentna i do tego... samotna, chyba że się mylę.

– No wiesz! – George usiłowała ukryć zmieszanie. Dougal rozłożył ręce w teatralnym geście.

– Cóż, powinienem się tego spodziewać. Zdziwiłbym się, gdybyś nie zaprzeczyła – Przeniósł wzrok na Maxa. – Nie sędzę, żebyś był zaskoczony.

– Czym?

– No, że nie jest do wzięcia.

– Jak to? – George aż otworzyła usta ze zdumienia. – Przecież nie powiedziałam, że jestem z kimś związana.

– Oczywiście, że powiedziałaś. Zapytałem, czy jesteś samotna, i w odpowiedzi usłyszałem: „No wiesz!”.

– Miałam na myśli te wszystkie komplementy, którymi mnie obsypałeś.

– To znaczy, że nie jesteś z nikim związana? – Ani myślał dać za wygraną.

Nie wiedziała, jak się zachować. Co prawda Dougal był bardzo sympatyczny, ale George nie miała najmniejszej chęci na romanse. Poza tym Max przyglądał się jej natarczywie, z dziwnym wyrazem twarzy. Przyznając, że nie ma w jej życiu mężczyzny, z pewnością dałaby mu powód do satysfakcji. On też, co prawda, nie założył rodziny, ale fakt, że od trzech lat spotyka się z jakąś Angielką, mówił sam za siebie.

– Chyba tak – bąknęła w końcu niechętnie, wygrzebując się ze śpiwora. – Wybaczcie, ale muszę was na chwilę opuścić.

Deszcz prawie przestał padać, ale niebo było wciąż zachmurzone. George pomodliła się w duchu o poprawę pogody. Pragnęła jak najszybciej odtransportować rannego do szpitala i uwolnić się od towarzystwa byłego narzeczonego. Tym bardziej, że ten najwyraźniej nie zamierzał dać jej spokoju. Nawet teraz podążył za nią na dwór.

– Przepraszam cię, ale – zaprotestowała – ale nie potrzebuję świadków.

Max zignorował jej słowa.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że chyba jesteś samotna? To znaczy, że sama nie wiesz?

– Oczywiście, że wiem. Ale to nie twój interes.

– Może jednak raczyłabyś mi powiedzieć. – Postąpił krok w jej kierunku.

– Niby dlaczego?

– Dlatego, że Dougal jest moim bliskim przyjacielem, a ty najwyraźniej wpadłaś mu w oko. – Wzruszył ramionami. – Może powinienem go ostrzec.

– Sama potrafię to zrobić – parsknęła.

Cofnęła się, ale Max znów zrobił krok do przodu.

– Nie najlepiej ci to wychodzi.

S – Nie rozumiem. – Stał tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego postaci.

– Powiedziałaś, że chyba jesteś wolna. Podejrzewam, że Dougal wyobraża sobie, że znalazłaś się w jakiejś niezbyt dogodnej sytuacji i chcesz, żeby cię z niej wyratował.

Nie była w stanie wykrztusić słowa. Rzeczywiście jej sytuacja życiowa mogła być lepsza, ale Dougal Donaldson nie należał do osób, które mogą jej pomóc.

– Miałam na myśli tylko tyle, że co prawda nie jestem z nikim związana, ale nie zamierzam tego zmieniać. – Usiłowała zdobyć się na nonszalancję. – Mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Na przykład pracę, tak?

– Chociażby.

Rzeczywiście ostatnio trafiło ją wiele problemów. Od czasu wypadku męczyło ją coraz więcej wątpliwości, a teraz nadszedł czas, żeby się z nimi zmierzyć.

– Czyli – odezwał się z nieukrywaną niechęcią – nic się nie zmieniło.

Przyjrzała się Maxowi z uwagą. Mimo kilkudniowego zarostu, malującego się na jego twarzy wyczerpania i gniewnego spojrzenie, był wciąż tym samym mężczyzną, w którym przed laty zakochała się bez pamięci. Zrozumiała, że wystarczy jedna iskierka, żeby rozpaść w niej na nowo dawny żar namiętności.

– Tak – odparła spokojnie. – Nic się nie zmieniło.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niby nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko.

Śmigłowiec zakołysał się nieprzyjemnie i zaczął tak szybko obniżać lot, że odczuła lekkie mdłości. Rzuciła pytające spojrzenie Mike'owi Binghamowi, który w odpowiedzi jedynie nieznacznie wzruszył ramionami. Widać Jack Burgess, z racji zapalczywości charakteru zwany przez innych Brzytwą, uznał, że przy tak świetnej pogodzie i dogodnych warunkach do lądowania może trochę zaszaleć. George zdecydowanie wołała latać z Tedem. Nigdy nie pochwaliała podejmowania nieuzasadnionego ryzyka.

Odetchnęła z ulgą, kiedy płozy śmigłowca dotknęły ziemi.

Pacjent, po którego przylecieli, musiał jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, więc Jack nawet nie wyłączył silnika. Wszystko wskazywało na to, że mają do czynienia z rozległym zawałem. Lekarz opiekujący się chorym w małym, wiejskim szpitaliku zastosował wszelkie dostępne mu środki, ale bez specjalistycznej opieki kardiologicznej pacjent miał niewielkie szanse na przeżycie. Szczególnie że objawy trwały już nieprzerwanie od ponad dwóch godzin.

– Witaj, Jeny – powitała George pielęgniarka czuwającego przy chorym na lądowisku. – Pacjent nazywa się James Warren, tak?

– Nie James, tylko Jim. Prowadzi najlepszą smażalnię ryb w całej okolicy.

– Widzę, że ma pan tu troskliwą opiekę – uśmiechnęła się do leżącego na noszach mężczyzny.

– Boją się, że nie będzie miał im kto ryb nasmażyć – spróbował zażartować pan Warren. Mimo maski tlenowej nałożonej na usta, usiłował się roześmiać.

– Właśnie. – Jerry mrugnął porozumiewawczo. – Dlatego musicie jak najszybciej odesłać go w pełnym zdrowiu z powrotem.

– Jak się pan teraz czuje? – zapytała, studiując z uwagą EKG pacjenta. Ponad wszelką wątpliwość Jim przeszedł rozległy zawał tylnej ściany serca.

– Już lepiej.

Pod wpływem podanej morfiny i środków rozkurczowych ból w klatce piersiowej chorego znacznie zelżał. Jednak jego stan nadal był ciężki i George wiedziała, że nie ma ani chwili do stracenia.

– Leciał pan kiedyś śmigłowcem? Chory pokręcił głową.

– Ale się pan nie boi? – zapytała, nie spuszczając wzroku z twarzy chorego. W przypadku tak poważnych zaburzeń krążenia lęk mógł doprowadzić do dalszego pogorszenia się stanu pacjenta. Jakakolwiek oznaka zdenerwowania byłaby wskazaniem do podania mu środków uspokajających. Ale Jim Warren sprawiał wrażenie ze wszech miar opanowanego.

– Nie bardziej niż jazdy karetką – odparł.

– W takim razie jeszcze tylko zmierzę panu ciśnienie i możemy startować.

Umieściwszy chorego w śmigłowcu, wspólnie z Mikiem przytwierdzili do skóry pacjenta elektrody umożliwiające stałe monitorowanie pracy serca i podłączyli kroplówkę.

– Gotowe.

– Mam utrzymać niski pułap? – zapytał Jack, który chętnie zaryzykowałby lot na mniejszej wysokości.

– Ale nie za niski. Byleby nie powyżej sześciuset metrów. – Ustawiła na maksimum dopływ tlenu. Obawiała się, że pilot może zacząć szarżować. Tymczasem zanim wylecą nad równinę, muszą pokonać łańcuch całkiem wysokich wzniesień. Z pewnością czułaby się bezpieczniej, gdyby to Ted siedział dziś za sterami.

Tak jak przewidywała, Jack wleciał między wzgórza z charakterystycznym dla siebie fasonem. Mimo ściskania w żołądku starała się za wszelką cenę zachować spokój i skupić uwagę na pacjencie. Spostrzegła, że Mike z niepokojem spogląda na monitor. W ustabilizowanym przed wylotem rytmie serca chorego zaczęły z coraz większą częstotliwością występować dodatkowe skurcze.

Widząc, że Jim próbuje coś powiedzieć, George uchyliła mu na moment maskę tlenową.

– Długo jeszcze? – zapytał.

– Około dwudziestu minut. Jak się pan teraz czuje?

– Nie najgorzej.

Uśmiechnęła się i ponownie zamocowała maskę. Sama niestety czuła się dość podle. Właściwie powinna mieć dziś wolny dzień, lecz po nocy spędzonej w górach nie mogła od razu wrócić do pracy. Dlatego, kiedy wczesnym rankiem Dougal został wreszcie bezpiecznie odtransportowany do szpitala, Ross przejął jej dyżur, przez co dzisiaj musiała zastąpić go w bazie.

Jeszcze teraz, mimo że przespała wczoraj pół dnia, odczuwała zmęczenie, szczególnie że owe kilka godzin kamiennego snu nie przyniosło jej ukojenia. Obudziła się targana całym mnóstwem wątpliwości, które od tygodni starała się od siebie odsunąć. Czyżby to ponowne pojawienie się w jej życiu Johna Maxwella sprawiło, że zrozumiała, iż nie może pozostawiać ich nadal bez odpowiedzi? Przez całą noc przewracała się z boku na bok, próbując zrozumieć, w którym momencie życia popełniła błąd.

Kiedy jeszcze była z Maxem, wciąż odczuwała pewien niedosyt. Zrezygnowała z tego związku, by poświęcić się pracy. Jednak teraz stało się jasne, że uprawianie nawet tak pasjonującego zawodu nie daje jej pełni szczęścia. Czyżby nigdy nie miała zaznać spełnienia?

Może sama jest sobie winna? Przecież wiedziała, że rozstając się z Maxem, bezpowrotnie traci coś naprawdę ważnego. Miała nadzieję, że pracą potrafi wypełnić tę lukę. Ostatnio jednak zaczęła obawiać się życiowej pustki, która może się stać jej udziałem, kiedy za pięć, dziesięć lat okaże się, że zdrowie nie pozwala jej na dalszą służbę. Albo nawet wcześniej. Ból pleców, który znów dał znać o sobie w trakcie ostatniej akcji, nie nastrojał jej zbyt optymistycznie, zwłaszcza że minęło już sporo godzin, a wciąż nie przestawał jej dokuczać. Postanowiła zapisać się na wszelki wypadek na kontrolną wizytę u ortopedy.

Nigdy dotąd nie czuła się aż tak żałośnie, nawet pięć lat temu, kiedy zerwała z Maxem. Nawet po wypadku, kiedy nie wiedziała, czy nie przyjdzie jej spędzić reszty życia na wózku inwalidzkim. Ale wtedy miała przed sobą jasno określony cel. A teraz? Jaka przyszłość ją czeka? Ma trzydzieści pięć lat i osiągnęła wszystko, co sobie zaplanowała. Tyle że okazuje

się teraz, że to o wiele za mało.

Otrząsnęła się. Śmigłowiec opuścił już na szczęście górzysty teren i leciał nad płaską szachownicą pól. Tymczasem stan pacjenta zaczął się pogarszać. Wykres na monitorze wykazywał nasilenie arytmii. Porozumiewszy się wzrokiem z Mikiem, George sięgnęła po torbę z lekarstwami. Ciśnienie krwi pacjenta spadało, nieregularny puls osłabł do pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Miała nadzieję, że podanie atropiny przyniesie pożądany efekt. Gdyby doszło do zatrzymania akcji serca, musieliby wykonać awaryjne lądowanie i rozpocząć reanimację.

Niestety, po pierwszej dawce stan pacjenta nie uległ poprawie. Co prawda po drugiej rytm serca uległ pewnemu przyspieszeniu, ale pozostał niebezpiecznie nieregularny. Śmigłowiec wleciał już nad pierwsze zabudowania, więc o żadnym między lądowaniu u nie mogło teraz być mowy. Na szczęście kolejna, trzecia dawka, w połączeniu z lignokainą, okazała się na tyle skuteczna, że tym razem defibrylacja okazała się zbędna.

George odetchnęła z ulgą, gdy Jack posadził maszynę na dachu szpitala. Zawiadomiony wcześniej przez radio zespół reanimacyjny błyskawicznie zabrał pacjenta na intensywną terapię, pozostawiając załogę śmigłowca na zalanym słońcem lądowisku.

– Idziemy na kawę, czy od razu wracamy do bazy? – zapytał pilot.

– Lepiej poczekajmy, aż oddadzą nam nosze, bo nie mamy zapasowych na pokładzie – zauważył Mike. – Filizanka czegoś gorącego na pewno nam nie zaszkodzi.

– Idźcie beze mnie. – George zdjęta z głowy hełmofon.

– Ja zajrzę na chwilę na ortopedię. Sprawdzę, jak się miewa ten gość, którego zabrałam wczoraj z przełęczą.

– Masz na myśli tego lekarza? – zainteresował się Jack.

– Podobno sam sobie usztywnił nogę przy pomocy kilku gałęzi.

– Niezupełnie. Towarzyszył mu przyjaciel, też lekarz. To on od razu założył prowizoryczny opatrunek. Muszę przyznać, że wykonał dobrą robotę. Nie musiałam niczego zmieniać.

– Przynajmniej się nie namęczyłaś – roześmiał się Mike – skoro miałaś dwóch medyków do pomocy.

– Do pomocy! Akurat – burknęła, oddalając się w kierunku windy.

Nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko.

John Maxwell nie spodziewał się, że powrót do Nowej Zelandii aż tak bardzo go poruszy. Zdecydował się na trzytygodniową wizytę pod wpływem nalegań Dougala, który od miesiąca namawiał go, by odwiedził stare kąty.

Pierwszy wstrząs przeżył tuż po wyjściu z lotniska. Przejrzyste powietrze, ciepłe promienie wiosennego słońca, widok dzieci ubranych w krótkie spodenki i sandały, a nawet tłoczących się na postoju najróżniejszej marki taksówek, wszystko to sprawiło, że od razu poczuł się tutaj jak w domu. Co więcej, widząc pogodne twarze mijających go ludzi, raptem zdał sobie sprawę, że sam się bezwiednie uśmiecha.

Dougal zajął się organizacją pierwszego tygodnia urlopu przyjaciela. Od lat w wolnych chwilach z pasją oddawał się pieszej turystyce, a że Nowa Zelandia jest prawdziwym rajem

dla wędrowców, nabył niezliczoną ilość map i przewodników i wyciągnął Maxa w góry. Ten zresztą z największą ochotą przystał na propozycję pokonania szlaku prowadzącego do Aickens przez przełęcz Artura. Pragnął przynajmniej na kilka dni oderwać się od Christchurch, którego sielska atmosfera zaczynała go niebezpiecznie uwodzić. Obawiał się, że z czasem uzna Szkocję za tymczasowe miejsce pobytu.

Rozumiał teraz, dlaczego przyzwyczajenie się do nowych warunków życia w Glasgow przyszło mu z takim trudem. Minął rok, zanim przywykł do szarzyzny tego miasta, do nieumiejętnego traktowania przez miejscowych ludzi, którzy nie słysząc w jego głosie szkockiego akcentu, podejrzewali, że jest Anglikiem. Gdyby nie Dougal, który zaraził go entuzjazmem, z jakim podchodził do życia, byłoby mu jeszcze ciężiej.

To pod wpływem opowieści Maxa o urokach Nowej Zelandii, Dougal postanowił popробować życia na obczyźnie. A teraz, przybywszy tu, by odwiedzić przyjaciela, Max zaczynał tracić pewność, czy postąpił słusznie, decydując się na emigrację.

Wrażenie, jakie wywarła na nim sielska atmosfera Christchurch, było jednak niczym w porównaniu z szokiem, którego doznał po spotkaniu z Georginą. Jakimż to dziwnym zrzędzeniem losu ujrzał ją znowu po tylu latach? Choć właściwie nie powinien czuć zaskoczenia. Nowa Zelandia jest niewielkim krajem, a George, zostając pierwszą i jak dotąd jedyną kobietą zatrudnioną w ratownictwie lotniczym, stała się częścią jego historii. Nikt, kto wybiera się na górską wspinaczkę, nie może wykluczyć możliwości wypadku, z tym samym zetknięcia się z George.

Max nie mógł się już dłużej oszukiwać. Żadna inna kobieta nigdy nie będzie znaczyła dla niego tyle co George. Tam, w górach, zrozumiał to wreszcie ponad wszelką wątpliwość. Przez ostatnich pięć lat często wracał do niej myślami. Targały nim najróżniejsze skrajne emocje, od wściekłości po fizyczne wręcz pożądanie. Ujrzawszy ją znowu, schronił się za maską wrogości, szczególnie że sama George nie uczyniła żadnego gestu pojednania. Przeciwnie, zaczęła się szarogęsić, wydawać mu polecenia... A do tego te kąśliwe uwagi na temat Roweny. No i nie omieszkała mu wypomnieć nieszczęsnej rzymskiej pieczeni! Kiedyś przynajmniej nie była pamiętliwa.

Zachowanie Dougala, który najwyraźniej stracił głowę dla swej wybawicielki, bynajmniej nie poprawiało Maxowi nastroju. Obawiał się, że jeśli w czasie dzisiejszych odwiedzin Szkot zacznie po raz kolejny rozprawiać o zaletach jej charakteru, umysłu i ciała, może stracić panowanie nad sobą. Nie zamierza dłużej wysłuchiwać tych zachwyty. Przecież George sama mu powiedziała, że Dougal wcale jej nie interesuje. Najwyższy czas, by w końcu oświecić przyjaciela, pomyślał, kierując się na ortopedię szpitala w Christchurch.

Oby nie okazało się, że jest już za późno, westchnął na widok rozpromienionej twarzy Donaldsona.

– Zgadnij, kto u mnie był? George przysłała mnie odwiedzić. Mnie, rozumiesz?

– Doprawdy? – Max położył na szafce torbę z kilkoma drobiazgami, o które prosił go Dougal, i usiadł na krześle przy łóżku.

– Właśnie. – Chory cieszył się jak dziecko. – Powiedziała, że akurat odstawiła kogoś na

intensywną terapię, więc skorzystała z okazji i przysłała zobaczyć, co u mnie słyhać. Ale podejrzewam, że po prostu jest zbyt nieśmiała, aby powiedzieć mi wprost, że wpadłem jej w oko.

– George nie jest nieśmiała.

– Rzeczywiście. – Dougal zgodził się po chwili namysłu. – Ona jest po prostu doskonała.

– Nikt nie jest doskonały, kolego.

– Nigdy dotąd nie spotkałem takiej kobiety. Wydaje się taka krucha, a jednocześnie tyle w niej determinacji.

– Raczej zawziętości.

– Siły. Wyobrażam sobie, jak już jako mała dziewczynka musiała stawiać czoło całej rodzinie. Na pewno było jej ciężko.

– Poznałeś tylko jej punkt widzenia. – Max pokręcił głową. – Rodzina George po prostu ją uwielbia. Wcale nie próbowali pozbawić jej osobowości. Chcieli ustawić ją na piedestale.

– Owszem, w sukience z falbankami. Tyle że jej się to nie podobało.

– Być może pani Collins jest rzeczywiście trochę staroświecka – przyznał Max. – Należy do kobiet, które odnajdują szczęście, dbając o męża i dzieci. Zapewne myślała, że idąc w jej ślady, George też będzie szczęśliwa. Poza tym próbowała ją chronić. Każdemu, kto ją kocha, włosy muszą się jeżyć na głowie na widok tego, co czasami wyrabia.

– A może po prostu nie znalazł się dotąd nikt, kto wymyśliłby dla niej odpowiedni piedestał?

– Najlepiej taki, który ma przymocowane śmigło – zaśmiał się Max z goryczą. – Żeby potem patrzeć, jak odlatuje w siną dal.

– Tylko po to, żeby wrócić. – Tym razem Dougal mówił poważnie. – W końcu jedyną metodą ujarzmania niepokornej duszy jest uznanie jej wolności. Mam na myśli wolność wyboru.

– Tego akurat George nigdy nie dała sobie odebrać.

– Zamierzam się z nią umówić – obwieści! Dougal, przyglądając się badawczo przyjacielowi.

– Nie zgodzi się.

– Nie zaszkodzi spróbować.

– Właśnie że zaszkodzi. – Max z coraz większym trudem utrzymywał obojętny ton.

– Dlaczego?

– Bo George nie jest odpowiednią kobietą dla ciebie.

– Skąd ta pewność?

Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Max zdawał sobie sprawę, że nie może zabronić koledze spotykać się z George, lecz obawiał się, że taka sytuacja może rzucić cień na ich przyjaźń.

– Właściwie to chyba się z tobą zgadzam – niespodziewanie oznajmił Dougal. – George nie jest dla mnie odpowiednią kobietą.

Max aż otworzył usta ze zdziwienia.

– To po co bez przerwy opowiadasz, jaka jest idealna?

– Bo jest.

– Słuchaj, a może ty wciąż jeszcze jesteś pod wpływem morfiny?

– Gdzie tam. Już nic mnie nie boli. Po południu mam nawet zacząć chodzić o kulach. –

Popatrzył na przyjaciela z powagą. – Chcę tylko powiedzieć, że George jest idealną kobietą dla ciebie. Rozumiesz?

Max nie zareagował.

– Wciąż ją kochasz, prawda?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Dougal ułożył się wygodnie na łóżku.

– Może opowiesz mi, co się naprawdę wydarzyło. Nie o kobiecie pająku, która zanim cię porzuciła, wyssała z ciebie wszystkie soki. Opowiedz mi o George. I o sobie.

Max w zamyśleniu pocierał dłonią podbródek. Właściwie nie widział powodu, dlaczego miałby nie spełnić prośby przyjaciela. Może i jemu samemu taka rozmowa pomoże odzyskać spokój. Mimo beztróskiego na ogół usposobienia Dougal nie był aż takim lekkoduchem, na jakiego wyglądał. Był o kilka lat młodszy od Maxa, ale za to o wiele bardziej doświadczony w sprawach sercowych i dlatego jego rady mogły okazać się cenne.

– Więc jak się poznaliście?

– Na izbie przyjęć. George nieco wcześniej zaczęła pracę w pogotowiu. Ja odbywałem staż z anestezjologii. Zostałem wezwany, żeby zaintubować pacjenta. Akurat przywieźli nam kilkoro rannych z wypadku i zaczęło brakować pielęgniarek, więc George musiała mi asystować przy reanimacji.

– Przynajmniej skutecznej?

– Owszem, ale minęło kilka godzin, zanim zdołaliśmy w pełni opanować sytuację. Po pracy zajrzała jeszcze do szpitala, żeby zobaczyć co słychać, więc zrobiłem jej kawę. Siedzieliśmy w dyżurce i gadaliśmy do białego rana.

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Bardziej wzajemna fascynacja i wspólne zainteresowania. Wkrótce po tym przeniosłem się z anestezjologii na izbę przyjęć. Wczesna opieka medyczna właśnie zaczynała się rozwijać jako nowa gałąź medycyny, więc postanowiłem spróbować w niej swoich sił. Mieliśmy z George wielu wspólnych pacjentów i ciągle brakowało nam czasu, żeby omówić wszystkie przypadki, więc w końcu zamieszkaliśmy razem.

– Mam rozumieć, że wasze motywy były czysto intelektualnej natury?

– No, nie. Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani – przyznał Max. – George właśnie szukała nowego domu z kawałkiem ziemi, bo pastwisko, które wcześniej dzierżawiła dla konia, miało ulec parcelacji.

– I wtedy znaleźliście tę posiadłość pod miastem?

– Nawet nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, co to było za miejsce! – Max spojrzał na przyjaciela rozmarzonym wzrokiem. – Przed laty wokół rozciągała się olbrzymia plantacja, ale z czasem ziemia została sprzedana, tak że zostało zaledwie parę hektarów. Oprócz domu został nam stary sad, obszerne stajnie, rozpadająca się stodoła i całe mnóstwo zabytkowych wręcz sprzętów. Panowała tam atmosfera niebiańskiego spokoju. Ilekroć wracaliśmy z pracy, odnosiliśmy wrażenie, że wkraczamy do innego świata. Sądzę, że mógłbym tam spędzić

resztę życia. Zresztą George pewnie też.

- Ile miałeś wtedy lat?
- Trzydzieści, a ona dwadzieścia siedem.
- A jak długo mieszkaliście razem?
- Trzy lata.
- Dlaczego nie wzięliście ślubu?

– Nosiliśmy się z takim zamiarem – westchnął Max. – Poprosiłem ją o rękę, jeszcze zanim przeprowadziliśmy się na wieś. Tylko zawsze znalazł się jakiś powód, żeby odłożyć datę ślubu. Najpierw George chciała zdać egzaminy średniego stopnia, potem ja robiłem specjalizację, a jeszcze później ona zapisała się na kurs ratownictwa. Oboje myśleliśmy przede wszystkim o pracy, no i w końcu zaczęliśmy się kłócić.

– O co?

Max wzruszył ramionami. Z perspektywy czasu powody owych nieporozumień zdały mu się dość błahe.

– O to, że jest nie posprzątane, że w lodówce nie ma nic do jedzenia, o to, że na okrągło podgrzewam pieczeń. George narzekała, że upodobiłem się do jej ojca i braci i zacząłem zwać na nią wszystkie domowe zajęcia.

– A zacząłeś?

– Skąd! – obruszył się. – Ale pracowałem dłużej niż ona, a poza tym nie miałem pojęcia o gotowaniu.

– To znaczy, że próbujesz mi wmówić, że rozstaliście się z powodu rzymskiej pieczeni?

– Były też inne przyczyny. George uparła się, żeby mieć krótkie włosy. Za nic nie mogłem jej przekonać, żeby choć trochę je zapuściła. Za każdym razem, kiedy wracała od fryzjera, dochodziło między nami do kłótni.

– A ty byś chciał, żeby ktoś mówił ci, jak masz się czesać?

– No i nie mogliśmy się dogadać co do jej pracy.

– Czemu?

– Bo za bardzo się narażała. Jeden z jej kolegów został potrącony przez samochód w trakcie akcji ratowniczej na szosie. Parę dni wcześniej sama wróciła do domu z podbitym okiem, bo dostała wezwanie do rannego pijaka w jakimś pubie.

– Też kiedyś oberwałem w izbie przyjęć.

– W każdym razie moja czara goryczy przelała się, kiedy George złożyła podanie o pracę w pogotowiu lotniczym. Sam nieco wcześniej przeczytałem gdzieś ogłoszenie, że w Glasgow poszukują lekarza specjalizującego się we wczesnej pomocy medycznej. Chciałem tam jechać, żeby zdobyć więcej doświadczenia. I miałem nadzieję, że w końcu się pobierzemy i wyjedziemy razem.

– A tymczasem George odmówiła, tak? – wtrąca Dougal.

– Żeby tylko! – Max powoli tracił ochotę na dalsze zwierzenia, szczególnie że z perspektywy czasu rola, jaką sam odegrał w całej tej historii, przestawała mu się podobać. – Doszła do wniosku, że próbuję narzucić jej rolę kury domowej.

– Nie chciała mieć dzieci?

– Twierdziła, że ma jeszcze czas, że jej zegar biologiczny może sobie spokojnie cykać przez następne pięć lat.

– He czasu minęło od tamtej pory? Max wzruszył ramionami.

– Sądzę, że właśnie pięć lat.

– No to sprawa jest jasna. – Dougal aż się uniósł na łokciach. – Nie masz na co czekać.

– Nie rozumiem.

– Musisz spróbować ponownie. Może jest już gotowa?

– Wykluczone. Obawiam się, że ona nie jest w stanie się zmienić. Poza tym mamy za sobą zbyt duży bagaż przykrych doświadczeń, a ja za dwa tygodnie wracam do Szkocji. W tak krótkim czasie nie uda mi się nawet namówić jej na wspólną kawę.

Dougal zmrużył powieki.

– Skąd taka pewność?

– Ona mnie nienawidzi.

– Dobrze wiesz, że nienawiść to niezwykle silne uczucie. Nie można nienawidzić kogoś, kto jest ci obojętny. Może to tylko maska, pod którą usiłuje coś ukryć?

– Niby co?

– To, że na przykład nie przestała cię kochać. Podobnie jak ty.

– Nie sądzę. – Max popatrzył na przyjaciela z powątpiewaniem. – A jeśli nawet masz rację, to te dwa tygodnie niczego nie zmieniają.

– Temu akurat możemy zaradzić. – Dougal uśmiechnął się przebiegle.

– Tak?

– Popatrz na moją nogę. Przecież w tym stanie przez dobre trzy miesiące nie będę mógł wrócić do pracy.

– Wiem. I naprawdę szczerze ci współczuję.

– Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Nie rozumiem.

– Będą musieli zatrudnić kogoś na zastępstwo.

– Zwariowałaś? – Max wreszcie pojął, do czego zmierza przyjaciel. – Przyjechałem na urlop. Za czternaście dni wracam do domu.

– To nie znaczy, że nie możesz trochę popracować – zachichotał Szkot – I przestali, drogi Maksiu, opowiadać te bzdury o powrocie do domu, bo dobrze wiesz, że twój dom jest tutaj.

ROZDZIAŁ CZWARTY

George miała wrażenie, że nagle czas się cofnął.

Co do diabła John Maxwell robi dziś w izbie przyjęć” szpitala w Christchurch? Jak żywa stanęła jej przed oczami scena sprzed ośmiu lat, kiedy jako początkująca sanitariuszka przywiozła do szpitala rannego w wypadku mężczyznę.

Max, który odbywał w tym czasie staż na anestezjologii, został wezwany na dół do pomocy, gdyż liczba poszkodowanych w wyniku rozbicia się autobusu na moście przerastała możliwości zatrudnionego w izbie przyjęć personelu. Mimo panującego wokół zamieszania uwagę George przybił nienaturalnie jasny kosmyk na tle ciemnych włosów młodego lekarza. Zastanowiła się czemu, w przypadku przystojnego skądinąd mężczyzny, ma służyć tego rodzaju fryzjerski zabieg. Czyżby miał jakieś kompleksy?

Nie miała wtedy czasu na snucie dalszych rozważań, gdyż stabilny dotąd stan znajdującego się pod jej opieką pacjenta uległ nagłemu pogorszeniu. Fiknięte zebro musiało przebić płuco, powodując niebezpieczne krwawienie wewnątrz klatki piersiowej. Tymczasem kolejka oczekujących na badanie rannych posuwała się powoli.

– Potrzebujemy lekarza! Natychmiast! – zawołała donośnym głosem.

Osobą, która przybyła jej z pomocą, był właśnie John Maxwell. Błyskawicznie przewieźli chorego do sali reanimacyjnej, w której jakimś cudem udało się im znaleźć trochę wolnego miejsca, a ponieważ wszystkie pielęgniarki były zajęte, to właśnie George przypadło w udziale asystowanie Maxowi w czasie zabiegu.

– Podaj mi zestaw do drenażu – polecił. Odszukała potrzebny sprzęt.

Wkrótce miało się okazać, że obrażenia pacjenta były o wiele poważniejszej natury, niż początkowo przypuszczali, i samo założenie drenu nie przyniosło spodziewanej poprawy. Podczas gdy Max dokładał wszelkich starań, żeby powstrzymać krwawienie i nie dopuścić do zatrzymania akcji serca, George nieustannie monitorowała stan chorego. W końcu wspólnymi siłami dokonali intubacji i na tyle opanowali sytuację, że mogli przewieźć rannego na blok operacyjny i przekazać go w ręce chirurgów.

Jeszcze tego samego dnia po zakończeniu dyżuru w pogotowiu George ponownie zajrzała do szpitala. O dziwo, John Maxwell dotąd nie wyszedł z pracy. Siedział w dyżurce z nogami opartymi o biurko.

– Jeszcze masz dyżur? – zdziwiła się.

– Oficjalnie już nie – odparł zmęczonym głosem. – Teoretycznie skończyłem o szóstej.

– Ja też.

Oboje odruchowo spojrzeli na zegarek. Było po jedenastej.

– Nie wiesz przypadkiem, jak się czuje nasz pacjent?

– Nadal żyje. Ale to prawie cud, bo jak się okazało, miał przebity lewy przedsionek serca.

– Jezu! – George nie podejrzewała nawet, że obrażenia były aż tak poważne. – Rzeczywiście miał szczęście.

– To ja miałem szczęście, mając ciebie do pomocy – powiedział ze szczerym podziwem.

– Byłaś fantastyczna. A właściwie to jak ci na imię? Bo mnie Max – przedstawił się.

– George.

– George? – powtórzył zdziwiony. – Dziwne imię u dziewczyny.

– Tak? – Przyjrzała się mu z ukosa. – A właściwie to po co rozjaśniasz ten kosmyk nad czołem?

Max oczywiście nie tlenił włosów. Kiedyś nawet ufarbował nieszczęsne blond pasmo na czarno, ale ponieważ odrosty wyglądały jeszcze dziwniej, nie ponowił tej próby. Tak więc, mimo że w ciągu ostatnich ośmiu lat siwizna lekko przyproszyła mu włosy, jasny kosmyk wciąż rzucał się w oczy. George musiała przyznać, że w ogóle niewiele się zmienił. Może tylko zmarszczki wokół oczu były teraz głębsze niż kiedyś. Ale uśmiech pozostał ten sam, podobnie jak uważne, łagodne spojrzenie, któremu niegdyś nie umiała się oprzeć.

Wciąż nie rozumiała, skąd się wziął dzisiaj w izbie przyjęć, z lekarską słuchawką zawieszoną na szyi. Zanim zdążyła to wyjaśnić, Max już zmierzał w jej kierunku w towarzystwie pielęgniarki, najwyraźniej po to, żeby przejąć przywiezioną przez George pacjentkę.

– Czternastolatka z hipotermią? – zapytał, by potwierdzić otrzymane wcześniej drogą radiową informacje.

– Tak. – Skinęła głową. – Nazywa się Kelly Jamieson. W czasie szkolnej wycieczki wypadła za burtę i porwał ją nurt. Na szczęście zdołała się uchwycić gałęzi, ale i tak spędziła ponad godzinę w lodowatej wodzie, zanim pogotowie rzeczne zdołało ją odnaleźć.

Pacjentka leżała na noszach otulona szczelnie srebrną, izotermiczną folią. Oczy miała przymknięte, a skórę niepokojąco bladą.

– Kelly, możesz na mnie spojrzeć? – Max pogładził dziewczynę po policzku.

Z wielkim trudem uniosła powieki, po czym natychmiast je opuściła.

– Trzeba jej podać dożylnie podgrzany płyn infuzyjny – zdecydował. – Była przytomna kiedy ją zabieraliście?

– zapytał w drodze do sali.

– Tak, ale oszołomiona i wystraszona. Wylądowaliśmy w momencie, kiedy motorówka pogotowia rzecznoego dobijała do brzegu. Wtedy jeszcze drżała z zimna, ale przestała się trząść, zanim zdążyliśmy zdjąć z niej mokre ubranie. Puls pięćdziesiąt pięć uderzeń na minutę, ciśnienie osiemdziesiąt na pięćdziesiąt, liczba oddechów dwanaście. To było – spojrzała na zegarek – pół godziny temu.

– Temperatura?

– Trzydzieści dwa stopnie.

– Na trzy przenosimy pacjentkę na łóżko – powiedział, kiedy weszli do sali, i rozpoczął odliczanie.

Po chwili dziewczyna leżała na świeżym prześcieradle, otoczona wianuszkami pielęgniarek, które sprawnie podłączyły monitory i kroplówkę z podgrzaną solą fizjologiczną oraz podały chorej tlen.

George doszła do wniosku, że tym razem nic tu po niej. Odwrotnie niż przed ośmiu laty, Max nie potrzebował jej pomocy. Poza tym sama nie jest już początkującą sanitariuszką,

tylko ogólnie szanowaną, jedyną kobietą ratownikiem w pogotowiu lotniczymi o której wysokich kwalifikacjach świadczyły liczne naszywki na kombinezonie. Zawsze dotąd napawały ją dumą. Dlaczego więc dziś widzi w nich przede wszystkim przyczynę smutnego rozstania z ukochanym mężczyzną?

Wychodząc ze szpitala, zagadnęła znajomą lekarkę.

– Nie orientujesz się, Susan, co tutaj robi John Maxwell? Myślałam, że przyjechał do Christchurch na urlop.

– To prawda, ale wybrał się z Donaldsonem na wycieczkę, która omal nie zakończyła się tragicznie.

– Wiem coś na ten temat. Sama ściągałam ich z gór.

– W każdym razie Dougal przez dłuższy czas nie będzie mógł wrócić do pracy, więc potrzebny był ktoś na zastępstwo. Kiedy Dougal zaproponował Maxa, dyrekcja szpitala była wręcz zachwycona. Zresztą Max rzeczywiście jest świetny.

– Naprawdę? – George uważnie przyjrzała się lekarce. Była nieco po czterdziestce, ale wyglądała młodziej, a do tego podobno nie była z nikim związana.

– Absolutnie. – Susan z przekonaniem pokiwała głową. – Ma najlepsze kwalifikacje z nas wszystkich, bo zrobił jeszcze dodatkową specjalizację w Europie. Nawet nie musiał starać się o zezwolenie na pracę, bo jest przecież Nowozelandczykiem. Podobno kiedyś u nas pracował.

– Słyszałam. – George wolała nie wdawać się w dalszą rozmowę na drażliwy przecież temat Susan od niedawna pracowała w Christchurch, więc nie mogła wiedzieć, że niegdyś coś ją łączyło z Maxem.

– Dougal dostał trzy miesiące zwolnienia. Mamy nadzieję, że Max nie będzie musiał wcześniej wyjechać. To bardzo miły człowiek. Wielu pracowników zna go jeszcze z dawnych lat. Bardzo się ucieszyli, że wrócił.

George tylko uśmiechnęła się na pożegnanie. Właśnie skończyła dyżur, więc prawdopodobieństwo, że przyjdzie jej dziś znowu natknąć się na Johna Maxwella, było raczej niewielkie. Ma zatem czas, by zastanowić się, jak stawić czoło nowej sytuacji, w której nie będą w stanie umknąć zawodowych kontaktów. Czy będą one miały jakiś wpływ na jej życie osobiste? Może sama w głębi duszy cieszy się z jego powrotu?

Załamanie pogody, które zmusiło George do spędzenia nocy na górskiej przełęczy, minęło równie szybko, jak się pojawiło, i od kilku już dni gorące słońce zapowiadało nadejście lata. Wróciwszy do domu, George z ulgą ściągnęła kombinezon i włożyła przewiewną bawełnianą bluzkę i szorty. Kończyła się przebierać, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała zagniewany głos najbliższego sąsiada.

– Ken, tak mi przykro – przeprosiła. – Mam nadzieję, że nie wyrządził poważniejszych szkód. Zaraz tam będę.

Jakim cudem Jacob znów zdołał uciec? I dlaczego udał się prosto do ogrodu, w którym Ken Stringer hoduje swe nagrodzone licznymi nagrodami warzywa? Z westchnieniem sięgnęła po stare, wygodne adidas. Do oddalonej o ponad kilometr farmy Stringerów prowadziła wyboista żwirówka. Problem w tym, że Jacob nie przepadał za twardą nawierzchnią, a jako osioł był wyjątkowo upartym stworzeniem. Dlatego też George wzięła z

sobą kilka kromek suchego chleba, którymi zamierzała zmusić go do posłuszeństwa.

Żeby dojść do stajni, musiała przejść obok otoczonego murkiem własnego warzywnika. Może powinna ofiarować Kenowi kilka swoich marchewek tytułem zadośćuczynienia za poniesione straty? Chociaż z drugiej strony, Jacob jak zwykle zjadł jedynie nać, nie uszkadzając przy tym korzeni. Dorodne marchwie pozostały nietknięte, tyle że w żadnym wypadku nie nadawały się już do pokazania na wystawie.

W nagrzanym słońcem, wzniesionej z kamienia stajni unosiła się rozkoszna won siana. George zdjęła ze ściany niewielką uzdę i wodze. Po chwili zastanowienia sięgnęła po drugą, tym razem okazałych rozmiarów uzdę. Przecież może oszczędzić sobie uciążliwego spaceru.

Bramka zamykająca położony obok stajni wybieg była szeroko otwarta. George pomyślała, że może ktoś ją celowo odryglował, by umożliwić zwierzętom wyjście na zewnątrz. Jednak poobgryzane drewno wokół skomplikowanego systemu zasuw, którym próbowała przechytrzyć osła, pozbawiło ją złudzeń. I znowu Jacob okazał się sprytniejszy. Na szczęście Sylwester nie skorzystał z możliwości samotnej przechadzki i paść się spokojnie nieopodal wejścia.

George ucałowała w nozdrza starego czarnobiałego wałacha, którego przygarnęła trzy lata wcześniej.

– No jak, staruszkule? Masz ochotę wybrać się ze mną po twojego upiornego kumpla?

Koń przyjaźnie otarł pysk o ramię właścicielki. Roześmiała się. Nigdy, nawet przez chwilę, nie żałowała, że zgodziła się zająć Sylwestrem. Z tego potężnego, łagodnego zwierzęcia emanował spokój, który kołował jej duszę.

Poruszali się wolnym, spacerowym tempem. George kołysała się na szerokim grzbiecie. Nie potrzebowała ani siodła, ani nawet wędzidla, gdyż koń reagował posłusznie na każde dotknięcie jej stóp. Ominął szerokim łukiem dużą, białą kozę uwiązaną na sznurze nieopodal skrzynki na listy. Zwierzę to bynajmniej nie zawdzięczało imienia Torpeda niezwyklej szybkości myślenia. George otrzymała je w prezencie od mieszkających nieco dalej sąsiadów, kiedy uznali, że nie będą dłużej znosić upodobania złośliwej kozy do przypuszczania szarży na każdego, kto tylko wszedł jej w drogę.

Jedynym stworzeniem cieszącym się względami Torpedy był wielki kocur, który dwa lata wcześniej postanowił zamieszkać u George. Dała mu na imię Szlaban, gdyż ulubionym zajęciem rudobrazowej bestii o różowym nosie było rozkładanie się w drzwiach i blokowanie przejścia. Tym razem jednak kot wygrzewał się w słońcu na skrzynce na listy i tylko przeciągnął się leniwie na widok przejeżdżającej konno żywicielki.

Droga była pusta, a panującą wokół ciszę zakłócał jedynie stukot ciężkich kopyt Sylwestra. George czuła, jak napięcie powoli opuszcza jej ciało. Tylko myśli wciąż miała niespokojne. Jak poradzi sobie teraz z codzienną obecnością Maxa w jej życiu?

Przez tych kilka dni, które minęły od pamiętnej nocy w górach, zdołała wiele zrozumieć. Pojęła w końcu, dlaczego od czasu rozstania z narzeczonym w jej życiu nie pojawił się żaden inny mężczyzna. Po prostu nikogo poza tym nie potrafiła naprawdę kochać. Żałowała, że przed laty zabrakło jej intuicji i nie rozpoznała prawdziwej miłości.

Co więcej, teraz już wie, że nie chodzi jej jedynie o to, by spędzić życie z ukochanym,

ale też o to, żeby mieć z nim dziecko. Do tej pory mimo wzruszenia, jakie odczuwała ilekroć miała do czynienia z niemowlęciem, udawało się jej odkładać to pragnienie na przyszłość. Najpierw musi przecież znaleźć odpowiedniego partnera, kogoś, kogo by pokochała, z kim mogłaby dzielić wspólny los. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest tylko jedna osoba na świecie, którą widzi w tej roli. I że tą osobą jest Max.

Być może, gdyby to kto inny asekurował go w czasie wciągania na linie nad przełęczą, przebudzenie nie nastąpiłoby aż tak szybko. Na szczęście operacja ta trwała na tyle krótko, że George miała nadzieję, iż Max nie zauważył, jak silnie reagowało jej ciało na owe kilka minut fizycznego kontaktu. Jak daleko wtedy znalazła się myślami od akcji ratunkowej!

Niechęć, jaką czuła do Maxa od momentu rozstania, niebezpiecznie osłabła, tak że George musiała dokładać teraz wszelkich starań, by ponownie ją rozbudzić. Wiedziała jednak, że jeśli pozwoli sobie na chwilę słabości, nie zdoła przetrwać kilku następnych tygodni, w czasie których miała go spotykać.

Podjęcie decyzji o zastąpieniu Dougala w szpitalu w Christchurch przyszło Maxowi zaskakująco łatwo. Minał już prawie tydzień, odkąd po raz pierwszy zgłosił się do pracy, i z dnia na dzień czuł się w niej coraz lepiej. Znalazszy się dziś w położonym w śródmieściu mieszkaniu przyjaciela, wracał myślami do godzin spędzonych w pracy.

Różnorodność przypadków, z jakimi miał tam codziennie do czynienia, wykluczała popadnięcie w rutynę. Współpracownicy darzyli go szczerą sympatią i chętnie korzystali z jego nabytego za granicą doświadczenia. Do tego już trzykrotnie miał okazję zetknąć się z George. Co prawda na każde spotkanie z nią była narzeczona reagował wielkim napięciem, ale był to nader przyjemny rodzaj podniecenia, jakie odczuwał tylko na widok tej jednej, jedynej kobiety.

Otworzył pudełko z pizzą, którą zafundował sobie na kolację w drodze do domu, lecz nawet nie zwrócił uwagi na ziołowy aromat, który wypełnił kuchnię. Wspomnienie George przypomniało mu chwilę, kiedy przypasany ciasno do jej drobnej postaci, kołysał się na linie nad górskim potokiem. Gdyby to przymusowe zbliżenie trwało choć trochę dłużej, pewnie nie zdołałby przed nią ukryć, że nawet strach, jaki wtedy odczuwał, nie osłabił władającego nim pożądania.

Owo przemożne pragnienie nie pozbawiło go wszakże zdolności racjonalnego myślenia i świetnie zdawał sobie sprawę, że nie chodzi mu jedynie o seks. Poczul ulgę, kiedy uświadomił sobie, że nadal potrafi kochać dostatecznie mocno, by zapomnieć o własnych potrzebach. A przecież od chwili rozstania z George nigdy dotąd nie doświadczył takiego uczucia. Owszem, przyjaźnił się z Roweną, ale oboje wiedzieli, że ich więź nie jest na tyle silna, by poświęcić dla niej możliwość rozwijania kariery.

Jednak w chwili, kiedy doznał owej ulgi, zaczął jednocześnie męczyć go lęk, gdyż zrozumiał, że jeśli tym razem pozwoli George odejść, przyjdzie mu żyć ze świadomością, że nigdy już nie spotka kobiety, która potrafi jej dorównać. Dlatego tym razem nie może pozwolić sobie na porażkę. Musi dociec, jakie popełnił błędy, by po raz drugi ich nie powtórzyć. Może Dougal ma rację? Może rzeczywiście usiłował narzucić George rolę, której nie była w stanie zaakceptować? Może uznała, że jest podobny do jej ojca i braci, do bliskich

jej sercu mężczyzn, którym musiała się przeciwstawić, by pozostać sobą?

Nalozyl sobie na talerz kilka kawalkow pizzy i wyszedl na taras. Mimo iz polozony ponizej skalny ogrodek byl niewielki, widok swiezej zieleni bardziej sprzyjal rozmyslaniom niz ascetycznie urzadzone wnetrze mieszkania.

Z westchnieniem opadl na lezak. Dougal oczywiscie ma racje. Gdyby tylko uuznie wysluchal tego, co George probowala mu wyjasnic w czasie ich pierwszej prawdziwej klowni, byc moze zrozumialby to juz wtedy. Ale wstrzas, jaki przezyt, kiedy wrócila z pracy z podbitym okiem, uczynil go gluchym na wszelkie argumenty. Sam nieco wczesniej podjal prace w izbie przyjec i kazdego dnia dowiadywal sie coraz wiecej na temat niebezpiecstw czyhajacych na pracownikow pogotowia. Usilowal ja przed nimi przestrzec. Wyliczyl wszystkie mozliwe zagrozenia, ale im dluzej mowil, tym silniejszy stawal sie jej gniew. W koncu obwieścila, ze jest dokladnie taki sam jak jej najblizsi, ktorzy zawsze starali sie narzucic jej role grzecnej dziewczynki.

Nastepnego dnia ja przeprosil. Wytlumaczyt, ze nie martwilby sie az tak bardzo, gdyby mu na niej naprawde nie zalezalo. Ze w jego oczach jest i tak doskonala, i nie powinna sie zmieniać. Poprosil George o ruke, a ona odpowiedziala; „Tak”. – A potem przezyli jedna z najcudowniejszych, pelnych namietnosci nocy.

Nie ustalili daty slubu. Najpierw musieli znalezc jakies miejsce, gdzie mogliby zamieszkać, a do tego trzymac konia dla George. Udaló sie im wynajac stare siedlisko z wielkim, wzniesionym z kamienia domem. Mimo to wciaz ociagali sie ze slubem. Oboje pielú sie po szczeblach kariery.

Próbował sobie przypomniec, kiedy to wlasciwie sprawy zaczely przyjmowac zly obrót. Z perspektywy czasu przyczyny poczatkowych nieporozumien wydaló mu sie dosc blahe.

Ot, na przyklad ktoreś z nich zapomnialo posprzatać. Mimo ze to Max raczej nie palil sie do prac domowych, nigdy nie omieszkal wypomniec George najmniejszych nawet zaniedban na tym polu. Nie potrafil tez ugryzc sie w jezyk, kiedy wracala krótko ostrzyzona od fryzjera, szczególnie ze zwykle nastepowalo to w momencie, kiedy jej wlosy osiagaló wymarzoná dla jej twarzy dlugosc. Z kolei George zlościla sie, ze Max nie potrafil gotowac, a jedynym posiłkiem, jaki potrafil przyrzadzic, byla owa nieszczesna pieczen. Moze faktycznie winien byl sie bardziej przykladac? Moze wówczas kwestia jedzenia nie uroslaby do rangi zasadniczego wręcz problemu.

Jednak prawdziwy kryzys nastapil dopiero w chwili, gdy George dowiedziala sie o mozliwosci pracy w pogotowiu lotniczym i wbila sobie do glowy, ze zostanie pierwszá kobietá latajácá smiglowcem. Tymczasem Max przeczytal ogloszenie, ze najwiekszy szpital w Szkocji poszukuje lekarza jego specjalnosci i uznal, ze podjecie tam pracy daloby mu niepówtarzalná szansę podniesienia kwalifikacji. Odpowiedzial na ogloszenie, ale nawet nie poinformowal o tym narzeczonej, glównie dlatego ze nie mial wiekszej nadziei na pozytywná odpowiedz. Podobnie zresztá wátpil, by George zostala przyjeta do elitarnéj jednostki lotniczej.

To byl poczatek konca. Kiedy z Glasgow nadeszla propozycja zatrudnienia, zažadal od George, by wreszcie wzeli slub i wyjechali razem do Szkocji. Jednak George pozostala

nieugięta.

Uparta się, żeby udowodnić całemu światu, jak wiele może osiągnąć kobieta.

Max daleki był od przyznania, że szansa na odniesienie sukcesu znaczy dla niego więcej niż szczęście ukochanej kobiety. Gdyby miał pewność, że odwołanie wyjazdu uratuje ich związek, zapewne nie opuściłby Christchurch. Ale miał wszelkie podstawy, by przypuszczać, że rozgoryczenie wywołane taką decyzją odbiłoby się niekorzystnie na i tak nadwątlonym związku z George, która upierała się, że za nic nie pójdzie w ślady matki i nie zostanie obywatelką drugiej kategorii w imię wspierania małżonka. – W końcu postawił sprawę jasno. Jeśli naprawdę go kocha, ma z nim pojechać do Szkocji. Odmówiła.

Niewiele myśląc, spakował walizki i wyleciał najbliższym samolotem do Glasgow. Więcej nie próbował nawiązać z nią kontaktu. Bo i po co? Przecież żadne z nich i tak nie zamierzało się poddać. Dlatego przegrali oboje.

Nie wiedział tylko, czy George zdaje sobie sprawę, jak wielką zapłacili cenę.

Sięgnął po talerz z nie dojedzoną pizzą i wstał z leżaka. Tym razem rozegra to lepiej, nie powtórzy dawnych błędów. Tym razem oboje odniosą zwycięstwo.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Odczuwasz silne bóle?

– Czasami, jak się przeforsuję.

– Jakies drętwienia kończyn?

– Owszem, w prawej nodze.

– To by się zgadzało. – Chirurg ortopeda w skupieniu analizował rentgenowskie zdjęcia zamocowane na podświetlaczu. – Rozumiem, że nie zmieniłaś pracy. Nadal dźwigasz ciężary albo dyndasz na linie?

– Owszem – przyznała skruszona.

Maurice Baxter pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Muszę przyznać, George, że cię podziwiam. Mało kto wierzył, że po tak poważnym wypadku odzyskasz pełną sprawność, nie mówiąc już o powrocie do pracy.

– Przecież praca to całe moje życie – zauważyła z nutką rozgoryczenia w głosie. – Więc nie miałam wyboru.

– Ale musisz się liczyć i z tym, że może będziesz zmuszona z niej zrezygnować – powiedział lekarz łagodnie. – Jeśli nie zaczniesz się oszczędzać, będziesz musiała poddać się kolejnej operacji.

George przyjrzała się zdjęciom.

– Sama widzę, że nie wygląda to zbyt różowo. Chyba nie zdawałam sobie sprawy, że te nieszczęsne dyski wciąż są w tak kiepskim stanie.

– Przecież odniosłaś naprawę poważne obrażenia. Zresztą nikt z nas tego przed tobą nie ukrywał. Aż trudno mi uwierzyć, że w ogóle jesteś w stanie nadal wykonywać swój zawód i wcale nie dziwi mnie, że odczuwasz pewne dolegliwości.

– Ale im szybciej zajmę się czymś innym, tym dłużej będę mogła obejść się bez zabiegu, tak?

– Właśnie...

Maurice Baxter podziwiał George i choć nie bardzo rozumiał, dlaczego praca jest dla niej ważniejsza niż zdrowie, wiedział, że musi zostawić jej wolność wyboru. Ze swojej strony był wszakże gotów zrobić wszystko, by jej pomóc. Dlatego, mimo że na korytarzu czekała kolejka pacjentów, nie próbował jej poganiać.

– A co by się stało, gdybym zaszła w ciążę? – zapytała po chwili zastanowienia.

Lekarz osłupiał. Właściwie sam nie wiedział dlaczego, po przecież Georgina Collins była młodą i bardzo pociągającą kobietą. Tyle że mimo iż znał ją już ponad trzy lata, nigdy nie słyszał, by choć słowem wspomniała o jakimkolwiek partnerze, a tym bardziej o chęci założenia rodziny. Poczuł, że mimowolnie się uśmiecha.

– Podejrzewam, że po dziewięciu miesiącach urodziłabyś dziecko.

– Przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi – roześmiała się George. – Jak by to zniósł mój kręgosłup?

Twarz Maurice'a spoważniała.

– W drugiej połowie ciąży możesz odczuwać pewien dyskomfort. Musiałabyś oczywiście bardzo na siebie uważać, bo dodatkowe obciążenie i zmiana postawy mogą stanowić pewne ryzyko. Oczywiście, chciałbym cię mieć w tym czasie pod kontrolą, ale nie widzę powodu, żeby odradzać ci macierzyństwo. A tak w ogóle – znów się uśmiechnął – to mam rozumieć, że planujesz potomstwo?

– Nie, po prostu byłam ciekawa. – Spojrzała na wiszący na ścianie zegar. – Będę już lecieć. Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Może przepisać ci środki przeciwbólowe?

– Dziękuję – pokręciła głową – ale jakoś wytrzymuję. Chciałam się tylko upewnić, czy przynajmniej na razie nic mi nie grozi.

– Nie, pod warunkiem, że będziesz o siebie dbać.

– Postaram się. Jeszcze raz wielkie dzięki, Maurice. – Skierowała się do wyjścia.

– Nie ma za co. I daj mi, znać, jak zajdziesz w ciążę.

– Oczywiście, z tym że nie „jak”, tylko, jeżeli”. W każdym razie nie jest to kwestia najbliższej przyszłości.

Z izby przyjęć połączyła się z bazą. W powodu wizyty u ortopedy zamierzała wziąć dzień urlopu, ale Murray uznał, że to bez sensu i sam podwiózł ją do szpitala. Umówili się, że zabierze się z powrotem którąś z karettek. Tymczasem okazało się, że śmigłowiec właśnie jest w drodze do szpitala.

– Poproszę Teda, żeby wysłał ci wiadomość na pager, jak tylko wylądują. Ale musisz z pół godziny poczekać – powiedziała dyspozytorka.

Zyskawszy nieco wolnego czasu, George postanowiła napić się czegoś ciepłego. W izbie przyjęć było dziś wyjątkowo tłoczno, więc pomyślała, że pokój służbowy jest pusty. A już na pewno nie spodziewała się tam natknąć na Maxa.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał na jej widok, wyjmując łyżeczkę z kubka.

– Właściwie wolałabym herbatę – uśmiechnęła się. – Ostatnio bardzo mi smakowała.

– Naprawdę? – Słowa George najwyraźniej sprawiły mu przyjemność. – W takim razie weź moją. Zaraz zaparzę sobie następną – oświadczył i podał jej kubek.

– Nie masz gdzie trochę mleka w tubce? – zapytała. Do tej pory pamiętała smak słodkiej bawarki, jaką częstował ją w górach.

– Niestety, nie. Herbata z mlekiem udaje się tylko na kocherze. – Rzucił jej przelotne spojrzenie. – Jeśli chcesz jej znowu spróbować, musisz wybrać się ze mną na wycieczkę.

– Czemu nie? – odparła od niechcienia, starając się nadać rozmowie niezobowiązujący ton. Jednak milczenie Maxa, który najwyraźniej nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, sprawiło, że poczuła się niezręcznie.

– Przywiozłaś jakiegoś pacjenta? – zapytał w końcu, jakby specjalnie próbował zmienić temat.

– Tym razem nie. Po prostu musiałam się z kimś zobaczyć. Ale zaraz wam kogoś podrzucą. Śmigłowiec jest w drodze. Mam się nim zabrać z powrotem do bazy.

– Byłaś u Dougala?

– Nie. – Za nic w świecie nie zamierzała mówić Maxowi o wizycie u ortopedy. – Ale to

świetny pomysł. Ostatni raz widziałam się z nim w zeszłym tygodniu.

– Jutro mają go wypisać. Lekarz prowadzący uważa, że może już wrócić do domu. – Max zanurzył usta w parującym płynie. – Dlatego wziąłem dzisiaj wolny dzień na sprzątanie.

– A kto go prowadzi? Maurice Baxter?

– Tak. Znasz go?

– Owszem. To świetny chirurg – odrzekła wymijająco. – Gdyby mnie miał ktoś operować, na pewno wybrałabym właśnie jego.

– Fakt. Muszę przyznać, że choć pracuję tu dopiero od tygodnia, jestem pod wrażeniem poziomu tutejszych specjalistów.

– Podoba ci się u nas?

Kiwnął głową, przełykając kolejny łyk.

– W Szkocji jest pewnie zupełnie inaczej?

– Owszem, ale to nie znaczy, że mniej przyjemnie.

– Czy ta praca w Glasgow jest naprawdę tym, o co ci chodziło? – zapytała, zanim zdążyła pomyśleć. Przecież to tak, jakby pytała, czy nie żałuje, że ją opuścił.

– Nie mam na co narzekać. Wiesz, rok temu zostałem szefem urazówki.

– To o wiele bardziej odpowiedzialne stanowisko niż tutaj. Pewnie zaczniesz już tęsknić.

– Nie bardzo. – Aż zdziwiła go łatwość, z jaką przyszło mu to wyznanie.

– Podejrzewam, że kierownictwo nie ucieszyło się zbyt, kiedy ich zawiadomiłeś, że przedłużasz urlop.

– Raczej nie. Obawiam się, że po powrocie będę musiał się gęsto tłumaczyć.

– Nie przesadzaj. Na pewno wszyscy cię lubią – powiedziała, przyglądając się, jak Max płucze swój kubek.

– Dougal był moim najlepszym kumplem, ale wygląda na to, że postanowił zakotwiczyć tutaj na dobre. A z kierownictwem szpitala czasem trudno mi się dogadać.

– To znaczy, że przynajmniej w tym względzie wszędzie jest podobnie. – George dopiła resztkę herbaty. – Ale Raewyn na pewno przyjmie cię z otwartymi rękami.

– Kto?

– Ta twoja znajoma harcerka, co robi sweterki na drutach. Chyba tak właśnie ma na imię.

– Masz na myśli Rowenę? Po pierwsze, taka sama z niej harcerka jak z ciebie. A po drugie, to tylko koleżanka.

Max popatrzył na George z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie słyszał, by wypowiadała się uszczypliwie na temat innych osób, tymczasem od samego początku jej stosunek do Roweny podszyty był zazdrością. Z jednej strony powinien się cieszyć, ale z drugiej wiedział, że musi jak najszybciej wyjaśnić sytuację.

– Jediną przyczyną mojego pobytu w Szkocji jest praca – rzekł dobitnie. – Kobiety nie mają tu nic do rzeczy.

– Oczywiście – mruknęła może odrobinę zbyt szybko.

– Co przez to rozumiesz?

– Tylko tyle, że choćby nie wiem co, zawsze na pierwszym miejscu postawisz pracę – odparta z nutką goryczy w głosie. – Jeśli ta dziewczyna miała nadzieję, że potrafi cię zmienić,

to szczerze jej współczuję.

Od początku rozmowy Max dokładał wszelkich starań, żeby nie okazać wzburzenia. Jednak teraz musiał zareagować.

– Naprawdę tak na to patrzysz, George? Uważasz, że aby pokazać, ile dla mnie znaczyłaś, powinienem był odrzucić tak doskonałą ofertę? Sądźysz, że w życiu można mieć wszystko albo nic? Nie przyszło ci do głowy, że istnieją kompromisy?

Przełknęła ślinę. Nie mogła odmówić mu racji. Przecież i w Szkocji miałyby możliwość rozwijania własnej kariery. Co prawda, może nie latałyby tam śmigłowcem, ale to jeszcze nie oznacza, że musiałyby siedzieć w domu i niańczyć dzieci.

– Moja mama przez całe życie zgadzała się na kompromis i zawsze kończyło się tak, że robiła to, co chcieli ojciec i bracia – próbowała się bronić.

– A propos, co u niej sływać?

– Wszystko w porządku. – George zdawała sobie sprawę, że pod płaszczykiem grzeczności Max stara się ukryć nerwowość. Sama też czuła narastające napięcie, ale nie była do końca pewna, czy to gniew, czy też wewnętrzne pobudzenie wywołane jego obecnością.

– Jest szczęśliwa?

– Tak – odparła, cofając się w kierunku drzwi. Zaczynała domyślać się, dokąd mają prowadzić jego pytania, – A ty? Jesteś szczęśliwa, George? Czy dzięki pracy spełniły się twoje pragnienia?

– Oczywiście.

Znowu za bardzo pospieszyła się z odpowiedzią. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Przecież zorientowałby się natychmiast, że nie mówi mu całej prawdy, a wtedy musiałyby przyznać, że popełniła błąd, odrzucając najważniejszą rzecz w życiu w imię błędnego przeświadczenia, że nie osiągnie szczęścia, jeśli choćby na krok zboczy z obranej drogi.

Może rzeczywiście zachowywała się samolubnie? Ale nawet jeżeli to prawda, Max nie pozostał jej dłużny. W końcu kto dokładał wszelkich starań, by ukształtować ją na swoją modłę?

Musiał zauważyć jej zmieszanie, bo wyciągnął dłoń w jej kierunku, jakby chciał zmusić ją do podniesienia wzroku. Pewnie nie wytrzymałaby jego przenikliwego spojrzenia, gdyby ciszy nie przerwał dzwonek pagera.

– Muszę iść – powiedziała, odczytując wiadomość. – Śmigłowiec czeka na dachu. Do zobaczenia, Max.

Odprosił ją do windy, po czym ruszył schodami na ortopedię, by odwiedzić Dougała. Zastanawiało go, dlaczego George unikała jego spojrzenia. Czy rzeczywiście jest teraz szczęśliwa? Czy naprawdę uważa, że gdyby wtedy zgodziła się na kompromis, skończyłaby tak jak jej matka?

Odetchnął głęboko. Chyba nie doceniał znaczenia tych wszystkich historyjek z dzieciństwa, którymi George nie przestawała go raczyć. O tym, jak w tajemnicy obcinała sobie włosy, jak toczyła z chłopakami walki na pięści czy jak uciekała ze zniechęconych lekcji baletu. Zrozumiał je dopiero podczas pamiętnej nocy w górach, gdy opowiadała o swoim dzieciństwie Dougalowi. Może nie była aż tak samolubna, jak sądził, tylko przez całe

życie musiała walczyć o zachowanie własnego ja?

Przecież sam też mógł wybrać jakieś kompromisowe wyjście. W końcu gdyby nie wjechał do Szkocji, pewnie nie odniósłby tak spektakularnego sukcesu, ale też nie poniósłby zawodowej klęski. Popęłnił błąd. Nie dostrzegał prawdziwych przyczyn ich nieporozumień. Początkowo nawet nie zdawał sobie sprawy, że odchodząc od George, traci to, co w życiu najważniejsze. Teraz gotów był zapomnieć o własnej dumie, przyznać się do pomyłki i zacząć wszystko od początku. Problem w tym, że nie wiedział jeszcze, jak nakłonić George, by zechciała go wysłuchać i zrozumieć.

Kolejne wezwanie nadeszło z okolic Geraldine. Na drodze prowadzącej do miasteczka doszło do poważnego wypadku, w którym rannych zostało kilka osób.

Zająwszy miejsce w śmigłowcu, George przymknęła oczy. Rozmowa z Maxem na tyle wytrąciła ją z równowagi, że przed przystąpieniem do pracy musiała przynajmniej pozbiierać myśli.

Wszystko wskazuje na to, że Rowena jest rzeczywiście tylko jego znajomą. To by się zresztą zgadzało, bo przecież trudno oczekiwać, by ambitna Angielka zrezygnowała z kariery chirurga neurologa i zajęła się prowadzeniem domu. Dougal chyba wspomniawszy nawet, że nie miała pojęcia o dzieciach. Wynika z tego, że Max po raz kolejny musiał porzucić marzenia o założeniu rodziny.

Chociaż, z drugiej strony, wiele kobiet wyrzekłoby się bez bólu własnych zawodowych ambicji, by zdobyć miłość Johna Maxwella, albo przynajmniej dostosowałyby własne plany do jego zapatrywań. To prawda, że każdy dłuższy trwający związek wymaga obustronnych ustępstw, wzajemnej lojalności i oddania. Właśnie w tym względzie oboje z Mason popełnili błąd, kierując się jedynie własnym zdaniem.

Dlaczego nie umieli wyjść sobie naprzeciw? George nie wiedziała, jak Max odpowiedziałby na to pytanie. Bo jeśli cfaodzi o nią, to obawiała się, że skończy się na ustępstwach z jej strony, podczas gdy prawdziwy kompromis wymaga wysiłku obojga partnerów. Nie ufała Maxowi na tyle, żeby wykonać pierwszy ruch.

– Coś się stało, George? – zaniepokoił się Murray.

– Nie, wszystko w porządku.

– Co ci powiedział ortopeda?

– Że przy odrobinie szczęścia, kilka lat jeszcze zdołam wytrzymać* – odparła, rozkładając dłonie w bezradnym geście.

– Nie brzmi to szczególnie zachęcająco.

Odniosła wrażenie, że poza współczuciem w spojrzeniu Łosia maluje się lęk. Wizja kalectwa uniemożliwiająca dalsze wykonywanie zawodu zawsze przerażała podniebnych ratowników. Fakt, że wbrew rokowaniom lekarzy Wielka George wróciła po wypadku do pracy, dodał im wszystkim otuchy.

– Nie martw się. – Zdobyła się na uśmiech. – Pamiętasz, jak mówili, że ogóle nie będę mogła chodzić?

– Pewnie – roześmiał się. – Choć patrząc na ciebie, trudno w to teraz uwierzyć.

– No właśnie.

Śmigłowiec zaczął już podchodzić do lądowania, więc George uznała, iż najwyższy czas skończyć z rozpamiętywaniem przeszłości.

– Co wiemy na temat tego wypadku? – zapytała.

– Zderzenie czołowe. W obu pojazdach po jednej ofierze śmiertelnej. Troje rannych, w tym jedna osoba w stanie krytycznym, wciąż zakleszczona w zgniecionym samochodzie. To ją właśnie mamy transportować. Nie wiem, co z pozostałą dwójką.

Ted łagodnie posadził śmigłowiec na ciągnącym się wzdłuż szosy polu. Karetka pogotowia i wóz straży pożarnej zasłaniały miejsce wypadku, otoczone wianuszkami ciekawskich gapiów. George zarzuciła na ramię torbę ze sprzętem i przecisnąwszy się pod ogrodzeniem oddzielającym pole uprawne od drogi, pobiegła w kierunku rozbitych samochodów. Strażacy właśnie odcinali od jednego z wraków okazały element karoserii.

Na widok zbliżających się ratowników sanitariuszka miejscowego pogotowia odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Nie możemy się do niej dostać – oznajmiła, wskazując głową na uwięzioną za kierownicą kobietę. – Nie zdołaliśmy nawet założyć kołnierza. Ranna ani na chwilę nie odzyskała przytomności.

– Gotowe! – Strażacy uporali się w końcu z pogiętym żelastwem.

Murray i George natychmiast przystąpili do pracy. Nie mieli wątpliwości, że pacjentka znajduje się w stanie krytycznym. Jej tętno było niewyczuwalne, a poważne obrażenia całej twarzy utrudniały oddychanie. George przytrzymała głowę kobiety, umożliwiając koleżce wstępne badanie głowy i kręgosłupa szyjnego. W chwilę później podała rannej tlen przez maskę.

– Brak ewidentnych uszkodzeń tchawicy i kręgów szyjnych. Źrenice równe, reagujące. Oddech utrudniony – poinformował Murray. – Nie ma na co czekać. Zakładamy kołnierz i bierzemy ją na nosze.

Dzięki zgodnej współpracy sanitariuszy i ratowników wyciągnięcie ofiary z wraku odbyło się błyskawicznie. Jednak zanim zabrali pacjentkę do szpitala, musieli udrożnić jej drogi oddechowe i ustalić, czy nie mają do czynienia z poważnym krwotokiem wewnętrznym. W czasie gdy George podłączała kroplówkę, Murray przeprowadził pobieżne badanie.

– Musimy intubować – uznał. – Płuca wyglądają na czyste, ale obrażenia w obrębie twarzy i szyi powodują obrzęk, który może zablokować górne drogi oddechowe.

George bezzwłocznie podała koleżce laryngoskop i trzymając w dłoni gotową do podłączenia maskę tlenową, zaczekała, aż umieści rurkę w tchawicy nieprzytomnej kobiety. Minęło niespełna dziesięć minut od chwili przybycia na miejsce wypadku, gdy pacjentka zalaża się na pokładzie śmigłowca.

Ratując życie rannej, oboje starali się jednocześnie uzyskać jak najwięcej informacji na temat okoliczności wypadku i samej ofiary. Nazywała się Jennifer Lowe. Ze słów zaprzyjaźnionej z nią sanitariuszki wynikało, że odwoziła właśnie dwuletniego synka do przedszkola. W wyniku zderzenia z nadjeżdżającym z przeciwka samochodem maluch wyleciał przez przednią szybę i poniósł śmierć na miejscu. Kierowcy drugiego pojazdu też nie dało się uratować. Siedząca obok niego żona nie doznała zagrażających życiu obrażeń i

została odwieziona karetką do najbliższego szpitala. Jedyne drugi synek Jennifer, podróżujący w niemowlęcym foteliku przytwierdzonym do siedzenia samochodu, zdawał się wyjść z katastrofy bez szwanku.

– Możecie go zabrać? – Sanitariuszka zbliżyła się do śmigłowca, dźwigając przed sobą fotelik z maleństwem. – Mąż Jenny pracuje w Christchurch. Ma na was czekać w szpitalu.

George popatrzyła na Murraya. Co prawda niemowlę wyglądało na zdrowe, ale z pewnością powinien obejrzeć je doświadczony pediatra. Mogło też zostać zabrane do miasta karetką, ale czekający w szpitalu ojciec z pewnością odchodziłby od zmysłów. Tymczasem pewność, że przynajmniej ten maluszek jest bezpieczny, powinna pomóc mu znieść wiadomość o utracie starszego syna i krytycznym stanie, w jakim znajduje się żona.

George skinęła głową i wyciągnęła rękę po dziecko.

– Na imię mu Peter – powiedziała sanitariuszka łamiącym się głosem. – Ma dopiero trzy tygodnie.

– Nie martw się. Zajmiemy się nim.

George przypięła dziecięcy fotelik do własnego miejsca w śmigłowcu. I tak nie mogła z niego skorzystać, gdyż stan rannej wymagał stałej obecności obojga ratowników. Popatrzyła z czułością na maleńką, wykrzywioną płaczem twarzyczkę. Miała nadzieję, że przyczyną zawrodzenia malucha nie są jakieś nierozpoznane dotąd obrażenia wewnętrzne. Może jest po prostu głodny i wystraszony.

– Zespół pierwszy do bazy – rzekł Murray, nawiązując kontakt z Christchurch.

– Słyszemy cię. Możesz mówić.

– Wieziemy dwudziestoosmioletnią kobietę raną w zderzeniu czołowym. Stan krytyczny. Obrażenia w obrębie głowy i jamy brzusznej. Złamanie kości udowej. Zaintubowana, dostała dwie jednostki soli fizjologicznej. Puls sto trzydzieści, oddech wspomagany, dwadzieścia na minutę. Ciśnienie skurczowe osiemdziesiąt. Macie jakieś pytania?

– Spodziewany czas lądowania.

– Mniej więcej za pięć minut.

– Rozumiem. Powiadomimy izbę przyjęć.

Zespół reanimacyjny oczekiwał na przylot śmigłowca na dachu szpitala. George zdziwiła nieobecność Maxa, ale szybko przypomniała sobie, że wziął dziś wolny dzień, by przygotować mieszkanie na powrót Dougala do domu.

Cała uwaga lekarzy i pielęgniarek skupiła się na nieprzytomnej kobiecie, tak że nikt nie zwrócił nawet uwagi na łkające wniebogłosy niemowlę. Zdjąwszy hełmofon i rękawiczki, George pochyliła się nad dzieckiem.

– Pewnie chciałbyś, żeby cię ktoś przytulił – powiedziała, wyjmując Petera z fotelika.

Nie myliła się, bo malec przestał płakać, gdy tylko poczuł ciepło jej ramion. George wolną dłonią delikatnie rozmasowała mu plecki.

– Do twarzy ci z nim. – Siedzący za sterami Ted odwrócił w jej stronę głowę. – Zamierzasz go zatrzymać? – Próbował żartować.

Pokręciła głową.

– Zaraz zaniosę go na dół. Jego tata pewnie nie może się doczekać.

Pomyślała, że jeśli stan Jenny będzie nadal ulegał pogorszeniu, ten malec może okazać się jedyną pozostałą przy życiu najbliższą mu istotą. Mimo że w ciągu kilku lat pracy w ratownictwie George była świadkiem wielu tragedii, nieszczęścia takie jak dzisiejsze nie przestały jej głęboko poruszać. Za każdym razem uderzało ją, jak cenne i jak kruche jest życie.

Tuląc niemowlę w ramionach, skierowała się do izby przyjęć. Nie odnalazła na razie ojca chłopczyka, więc przysiadła na krześle i utkwiała wzrok w ekranie urządzenia monitorującego stan Jenny. Nikt się nią nie interesował, gdyż cały zespół nadal zajęty był ratowaniem rannej.

– Wiesz, chyba mamusia czuje się troszkę lepiej – szepnęła do dziecka, widząc, – że tętno chorej zaczyna się normalizować, a ciśnienie powoli rośnie.

Maluszek uważnie przyglądał się twarzy opiekunki. Kiedy cmoknęła do niego z czułością, wykrzywił małe usteczka w grymasie, który George uznała za próbę uśmiechu.

– Pasujecie do siebie – usłyszała cichy, męski głos. Na twarzy Maxa malowało się wyraźne zaciekawienie.

– Co tu robisz? Nie powinienes im pomóc? – Zdziwiona, wskazała głową na otwarte drzwi sali reanimacyjnej.

– Mówiłem ci już, że mam dzisiaj wolne. Wpadłem tylko, żeby odwiedzić Dougala. – Poglądził palcem policzek niemowlęcia. – Urodził się chyba niedawno, tak?

– Ma trzy tygodnie – oznajmiła – ale już się potrafi uśmiechać.

– Nie wierzę.

Wciąż delikatnie głaskał twarz chłopczyka, którego małe dłoń nagle zacisnęła się wokół jego palca.

– Widziałaś? – Uśmiechnął się z rozczuleniem. George przyglądała się mu jak urzeczona. Nigdy dotąd nie widziała na twarzy Maxa takiego rozrzewnienia. Pomyślała, że tak samo patrzyłby na własnego synka, tylko zapewne jego wzruszenie byłoby wtedy jeszcze głębsze. f zdziwiła się, że z tak wielką łatwością przyszło jej wyobrażenie sobie Maxa w roli ojca. Czyżby jej pragnienie wrodzenia mu dziecka było aż tak silne? Z zamyślenia wyrwał ją głos rejestratorki.

– To pewnie chłopczyk Lowe’ów. W poczekalni czeka jego tata. Mają na górze umówionego pediatrę. Mogłabyś mu go zanieść?

– Oczywiście. – George podniosła się z krzesła. Nawet nie spojrzała na Maxa, tylko ruszyła we wskazanym kierunku. Znowu przestraszyła się, że mógłby odkryć jej najskrytsze myśli.

Przekazała niemowlę ojcu i w zamyśleniu ruszyła schodami na górę. Właściwie nie było żadnego powodu, dlaczego nie miałyby się teraz zdecydować na dziecko.

Mogłaby odejść z pracy, nie wzbudzając niczyjego współczucia. Nareszcie miałyby jakiś prawdziwy cel w życiu. Przestałyby się zastanawiać nad niepewną przyszłością. Miała odłożonych trochę pieniędzy, więc w pierwszym okresie po urodzeniu dziecka nie musiałyby nawet pracować. A potem? W końcu jest właścicielką kilku hektarów żyznej ziemi. Może zająć się uprawą leszczyny i sprzedawać orzechy, albo zacząć hodować zioła i kwiaty...

Problem w tym, że nie wyobraża sobie, by ojcem dziecka miał zostać ktoś inny niż Max. Może powinna jednak wykonać jakiś gest dla odnowienia dawnej zażyłości? Nawet gdyby miało się okazać, że mimo wszystko nie mogą być razem, przy odrobinie szczęścia mogła zyskać to, o czym marzyła teraz równie silnie, jak o życiu we dwoje.

Nawet gdyby Max znów ją zostawił, zostałyaby z upragnionym dzieckiem, któremu zapewniłaby miłość i wszystko co najlepsze na świecie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ktoś dobijał się do wejścia z coraz większą natarczywością.

Najpierw dwukrotnie zadzwonił, a następnie zaczął stukać zamocowaną do drzwi starą, żeliwną kołatką. George wyskoczyła spod prysznicą, owinięła się ręcznikiem i podeszła do okna sypialni na piętrze. Kto to do diabła może być? Czyżby Jacob znowu wszedł komuś w szkodę?

Zdjęła staromodny haczyk zamykający lufcik i pchnęła okno. Może osioł wydostał się na szosę i spowodował wypadek? Albo jakiś samochód potracił kota i kierowca stara się ustalić właściciela? Wychyliła się i już zamierzała zawołać, kiedy dostrzegła stojącą pod drzwiami postać.

Głos zamarł jej w gardle. Co prawda widziała jedynie plecy i tył głowy, ale charakterystyczny kosmyk jasnych włosów zdradzał ponad wszelką wątpliwość tożsamość przybysza. Jakim cudem Max dowiedział się, że tu ją znajdzie?

Cofnęła się o krok. Musiał usłyszeć jakiś ruch na górze, bo odszedł od drzwi i zaczął bacznie obserwować okna. George rozpląszczyła się na podłodze.

– Halo! Czy zastałem kogoś w domu? – zawołał.

Chyba zauważył otwarty lufcik, bo głos dochodził teraz bezpośrednio spod okna.

– Pani Abemethy, czy to pani?

Na samą myśl o tym, że to poprzednia właścicielka domu mogłaby znajdować się teraz w jej położeniu, George parsknęła śmiechem. Co prawda niektórzy sądzili, że staruszcze brakowało piątej klepki, ale na pewno nie zdarzyło się jej leżeć w negliżu na dywanie i ukrywać przed nieproszonym gościem.

– Nazywam się John Maxwell. Przepraszam, że przeszkadzam, ale kiedyś tu mieszkałem i chciałem się trochę rozejrzeć.

Starła się zebrać myśli. Max najwyraźniej nie dowiedział się jeszcze, do kogo należy posiadłość. To znaczy, że nie przyjechał tu po to, by ją odwiedzić. Poczula lekkie rozczarowanie, ale zaraz potem odetchnęła z ulgą. Z pewnością miałby do niej żal, gdyby dowiedział się dzisiaj, że kupiła posiadłość, do której oboje czuli ogromny sentyment. Tymczasem za nic w świecie nie chciała go teraz denerwować. Od kilku dni zastanawiała się nad sposobem nawiązania bliższych kontaktów z byłym narzeczoną. Dziwnym trafem, ostatni dyżur w bazie przebiegł nadspodziewanie spokojnie. Nie dostali ani jednego wezwania, więc nie miała pretekstu, by pojawić się w szpitalu. Następne cztery dni spędziła w domu. Początkowo nawet zamierzała zadzwonić do Dougala, by zapytać go o zdrowie, ale uznała, że gdyby Szkot nie daj Bóg wyciągnął z jej zainteresowania pochopne wnioski, sytuacja skomplikowałaby się jeszcze bardziej. Tak więc minął prawie tydzień, a George ani o krok nie zbliżyła się do realizacji swego planu.

Usłyszała chrzest kroków na wysypanej żwirem ścieżce. Czyżby Max zrezygnował? Uznała, że nie może pozwolić mu odejść. Przecież taka okazja pewnie więcej się nie powtórzy.

Podniosła się z podłogi i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Wbrew temu, czego się obawiała, nie szedł wcale w kierunku drogi, tylko kuchennego wejścia znajdującego się po drugiej stronie domu. Jęknęła z przerażenia. Jeśli Max zauważy, że drzwi do kuchni są otwarte, z pewnością nie zawaha się wejść do środka, a ona wciąż miała na sobie jedynie wilgotny ręcznik. W okamgnieniu wyciągnęła z szuflady szorty i bawełnianą bluzę. Ubrała się, przeczesła grzebieniem włosy i zbiegła na dół.

Za nic nie może pozwolić Maxowi odjechać. I tak przecież prędzej czy później dowie się, że tutaj mieszka, a wtedy będzie musiała się dodatkowo tłumaczyć, dlaczego me wpuściła go do domu. Zauważył przecież czyjąś obecność, więc nawet nie zdoła mu wmówić, że pewnie akurat gdzieś wyszła.

Przebiegła w popłochu przez kuchnię, wsunęła stopy w stare, stojące przy drzwiach adidasy i wybiegła na dwór.

Mimo późnego popołudnia, okolica wciąż tonęła w słońcu. Oslaniając dłonią oczy przed jarzącym blaskiem, George rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie dostrzegła znajomej sylwetki. Na rozciągniętym między drzewami sznurku suszyło się pranie, które wywiesiła dziś rano. Malutki ciągnik, którego używała do koszenia trawy, stał na ścieżce pośród porzucanych narzędzi, przypominając, że podjęta przed południem próba jego naprawy zakończyła się niepowodzeniem.

Zauważyła, że Sylwester i Jacob suną zgodnie przez ocienione starymi jesionami pastwisko, tak jak zawsze, kie

dy spodziewają się dostać po kawałku suchego chleba. Tyle że tym razem zwierzęta nie zmierzały w jej kierunku. Najwyraźniej ktoś inny zwrócił ich uwagę.

George przyglądała się przez chwilę, jak owa przedziwna para przyjaciół biegnie najkrótszą drogą do stajni. Obszerny, wybudowany z kamienia budynek miał dwa wejścia. Jedno właśnie od strony wybiegu, a drugie wychodziło na dziedziniec przed domem. Nic więc dziwnego, że Max rozpoczął zwiedzanie posiadłości od pomieszczeń dla koni.

Nabrawszy powietrza w płuca, George wyminęła popsuty ciągnik i nie zwracając uwagi na kury, które zgromadziły się u jej stóp w oczekiwaniu na wieczorną porcję ziarna, weszła do mrocznego wnętrza stajni. Postać Maxa rysowała się wyraźnie na tle widocznego przez otwarte wrota nieba.

– Witaj, Max! – zawołała lekko przyduszonym głosem i ruszyła między boksami dla zwierząt w jego kierunku.

Nie odezwał się ani słowem, tylko przyglądał się jej jak skamieniały. Gdy podeszła bliżej, dostrzegła wyraz zgrozy malujący się na jego twarzy. Ale zaraz potem zrobił krok do przodu i chwycił ją za ramiona.

– Mój Boże, to jednak ty! – zawołał. – Wydawało mi się, że zobaczyłem ducha.

– Przepraszam, że ci nie otworzyłam, ale właśnie brałam prysznic.

Jedną dłonią dotknął wilgotnych włosów George, drugą nadal zaciskał na jej ramieniu, jakby wciąż nie wierzył, że ma przed sobą żywą istotę.

– A co tam robiłaś? – zapytał, marszcząc brwi ze zdziwienia.

– Przez cały dzień pracowałam w ogrodzie. Tak się przy rym spociłam, że musiałam się

umyć. – Teraz i George zaczynało udzielać się dziwne poczucie nierealności.

– Rozumiem. – Mas lekko pokręcił głową. – Ale dlaczego właśnie tutaj?

– Bo tutaj mieszkam.

– Mówiłaś przecież, że kupiłaś dom. – Spojrzał na nią wyzywająco.

– To prawda. – Jej twarz rozjaśniła duma. – To właśnie ten dom.

– Niemożliwe. – Przyglądał się jej z taką miną, jakby właśnie dowiedział się, że wygrał milion w totolotka.

– Pani Abernethy zmarła – wyjaśniła. – Jej jedyni krewni mieszkają w Australii. Nie mieli nawet czasu, żeby przyjechać i obejrzeć posiadłość. Pewnie myśleli, że została tu tylko kupa gruzów, a że chcieli szybko pozbyć się kłopotu, sprzedali dom za grosze.

– Mieszkasz tu sama?

– No, niezupełnie...

George zagryzła wargi. Ciekawe, co by powiedział na widok jej przedziwnych, czworonożnych przyjaciół. Z daleka widziała, że Jacob i Sylwester z zaciekawieniem zaglądnęli do stajni przez zagradzającą wejście barierkę.

– Ach tak. – Najwyraźniej wyciągnął z jej odpowiedzi niewłaściwe wnioski. – To znaczy, że wcale się stąd nie wyprowadziłaś? – zapytał po chwili.

– Zawsze mówiłam, że nie chcę opuszczać tego miejsca. Nie pamiętasz?

Atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Max rozejrzał się wokół, po czym ponownie skupił spojrzenie na rozmówczyni.

– I jak widzę, dalej chodzisz w mojej bluzie.

– Naprawdę? – Zdziwienie George nie było w najmniejszym stopniu udawane; Nosila tę bluzę od tak dawna, że całkiem zapomniała o jej pochodzeniu.

– Mam ci ją oddać?

– Niekoniecznie – odparł wspaniałomyślnie. – Zawsze wyglądałaś w niej lepiej niż ja.

Jacob najwyraźniej miał już dosyć czekania, bo nagle wydał z siebie przeciągły, chrapliwy ryk. Max znieruchomiał z wrażenia.

– Co to było? – spytał z przestrawieniem.

– To tylko mój osioł – roześmiała się. – Ma na imię Jacob. Chodźmy, to ci go przedstawię.

Mrużąc oczy od słońca, podeszli do blokującej wejście do stajni barierki.

– Teraz jeździsz na osle?

– Skąd! Jacob to po prostu przyjaciel. To jest mój obecny wierzchowiec. – Z czułością pogładziła po karku stare konisko. Sylwester wyciągnął szyję i przyjaźnie otarł łeb o ramię nieznajomego. Max dzielnie znosił pieszczoty do czasu, kiedy osioł, wyciągnąwszy głowę nad barierką, nie zaczął uważnie obwąchiwać kieszeni jego wypłowiałych dżinsów.

– Domaga się poczęstunku – wyjaśniła George. – Jacob, nie wolno!

Zanim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, zwierzę zacisnęło zęby na obrzeżu kieszeni i cofnęło się o krok. Dżins rozerwał się z trzaskiem, odsłaniając błyszczący, czarny jedwab noszonej przez Maxa bielizny. Max chwycił się za biodro i obrzucił wściekłym spojrzeniem zwierzę, które najspokojniej w świecie przeżuwało właśnie kawałek błękitnej materii.

– Toż to potwór!

– Rzeczywiście, stwarza pewne problemy wychowawcze – przyznała. – Poprzedni właściciele nie byli w stanie z nim wytrzymać’.

– Nietrudno mi w to uwierzyć.

– Ale ma też pewne zalety. Na przykład świetnie dotrzymuje towarzystwa Sylwestrowi.

– Sylwestrowi? A kto to taki?

– Mój koń. – Poglądziła z czułością wielki łeb wsparty o jej ramię.

– Trzymasz go pod wierzch? – Max oszacował wzrokiem potężne zwierzę.

– Raz na jakiś czas wybieramy się na przejażdżkę. Sylwester ma dwadzieścia osiem lat i nie rozwija już wielkich szybkości. Jest u mnie na emeryturze.

– A gdzie jest Minstrel? – Rozejrzył się wokół, jakby spodziewał się ujrzeć na pastwisku ognistego kasztanka.

– Już od dawna go nie mam. Mówiłam ci przecież, że zrezygnowałam z jeździectwa.

– Tak?

Udała, że nie widzi jego pytającego spojrzenia.

– Poza tym mam kota. No i kilka kur oraz kozę.

– Chyba miałem okazję ją spotkać – wtrącił z niechęcią. – Właściwie to cudem uszedłem przed nią z życiem.

– Wiesz, że kilkoro gości uznało za stosowne przysłać mi po wizycie przepis na gulasz z koziego mięsa? Naprawdę. – George znów wybuchnęła śmiechem.

– Dziwię się, że jeszcze w ogóle ktoś cię odwiedza.

Przecież to niebezpieczne zwierzęta. Nie czai się tu jeszcze jakiś wściekły pies?

– Niestety, nie mam psa, mimo że bardzo bym chciała – odparta z żalem. – Ale przy tak nieregularnych godzinach pracy nie mogłabym się nim odpowiednio zajmować.

– Przecież mówiłaś, że nie mieszkasz tu sama – zauważył.

– Miałam na myśli moją menażerię.

– Ach, tak. – Do Maxa powoli docierało znaczenie jej słów. – To może pokażesz mi, jakie zmiany wprowadziłaś w domu? – poprosił w końcu z uśmiechem.

Wrócili przez stajnię na dziedziniec. Na widok George kury rozgadakały się na dobre.

– Domagają się kolacji. Zaczekaj tu chwilę, to przyniosę im trochę ziarna.

Uwagę Maxa zwrócił stojący na ścieżce ciągniczek.

– Popsuł się? – zapytał, kiedy George pojawiła się z karmą.

– Właśnie. – Kopnęła z impetem w oponę. – Spędziłam dziś całe przedpołudnie, próbując go naprawić. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała wynająć kogoś do koszenia trawy.

– A w czym dokładnie jest problem?

– Nie mam pojęcia. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Po prostu nie daje się uruchomić.

– Chcesz, żebym do niego zajrzał?

– Gdyby udało ci się go naprawić, to – szukała w myślach odpowiedniej zachęty – to zaproszę cię na kolację.

– W takim razie spróbuję. – Nie zważając na swą nieskazitelnie białą koszulę, Max podniósł maskę ciągnika. Kiedy nachylił się nad silnikiem, dziura, którą Jacob wygryzł mu w

spodniach, jeszcze bardziej się powiększyła, odsłaniając kolejne partie bielizny. Na szczęście, pochłonięty nowym zadaniem, nie zauważył fascynacji, z jaką George podziwiała jego jedwabne slipki.

– Pójdę zobaczyć, co mam w lodówce – odezwała się po chwili. – Na wypadek, gdyby ci się udało.

– Musi mi się udać – mruknął pod nosem. – Jestem potwornie głodny.

George najchętniej sama zamknęłaby się dla ochłody w lodówce. To, co jeszcze przed chwilą wydawało się jej nierealne, nagle okazało się rzeczywistością. Niewykluczone, że jeszcze dzisiaj uda się jej zwabić Maxa do łóżka. Podniecenie, jakie teraz czuła, było co najmniej tak silne jak wtedy, kiedy po raz pierwszy mieli się kochać. Albo nawet silniejsze, bo wciąż miała w pamięci rozkosze, jakich z nim doświadczyła. Do tego od pięciu lat nawet nie całowała się z mężczyzną, więc teraz pragnienie miłości kompletnie zawładnęło jej ciałem.

Tym razem jednak podnieceniu towarzyszył lęk. Kiedy przed laty kochali się z Maxem, była całkowicie pewna jego uczuć. Wzajemne oddanie przydawało magii ich namiętności. I choć wiedziała, że nadal go kocha, nie miała powodów, by sądzić, że Max odwzajemnia jej miłość. Może nadal czuje do niej urazę? Może nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego?

Lęk przed odrzuceniem sprawił, że przeszedł ją lodowaty dreszcz. Nie musiała już szukać ochłody. A z tym akurat nie miałyby większego problemu, bo otwartszy lodówkę, uprzytomniła sobie, że jej przepastne wnętrze zionie pustką. Poza kilkoma puszkami piwa, podejrzenie wyglądającym jogurtem i podsuszoną kostką sera na półkach nie było niczego, z czego mogłaby przyrządzić kolację.

Kiedy wyszła na zewnątrz, do jej uszu dobiegł równy warkot silnika, a Max, w umazanej smarem koszuli, z zadowoleniem wycierał dłonie.

– To co tam mamy do jedzenia? – zapytał.

– Niewiele. Może zamiast jeść, napijemy się piwa?

– Możemy wypić je do kolacji. Umieram wręcz z głodu. A poza tym zasłużyłem sobie.

– Tylko że... właściwie nie mam niczego w lodówce.

– Niemożliwe.

Nastąpiła długa chwila wielce wymownej ciszy. Ileż to razy George miała do niego pretensje o to, że nie zrobił zakupów!

– Dochodzi ósma – zauważył, spoglądając na zegarek. – Co zamierzałaś jeść dziś wieczorem?

– Pewnie warzywa z ogródka – odparła. – Albo_ jajka. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– Omlet z sałatą to chyba całkiem niezłe. Przygotowanie omletu biorę na siebie. Domyślałam się, że kurnik jest tam gdzie zawsze.

George bezradnie skinęła głową. Wcale nie cieszyło jej, że to Max przejął pałeczkę. Tymczasem John Maxwell, rzuciwszy niechętnie spojrzenie osłu, zmierzał dziarskim krokiem w kierunku kurnika.

– Bierz się do pracy – rozkazał, odwracając głowę przez ramię. – Idź po sałatę i co tam

masz jeszcze.

Powoli zapadał zmierzch, więc kury podążyły w ślad za nim, żeby korzystając ze sposobności dostania się do kurnika, udać się na nocny spoczynek. Otworzywszy drzwi, Max popatrzył z uznaniem na wysłane czystym, świeżym sianem gniazda.

Niestety, w żadnym nie dostrzegł ani jednego jajka. Nawymyślał więc ptakom od darmozjadów i wyszedł na zewnątrz, jego oburzenie było jednak co nieco udawane, bo rozgdakany drób i tak przydawał uroku temu miejscu, podobnie jak bzykanie przelatujących owadów czy rzenie pasącego się nieopodal konia. Zatrzymał się przy wejściu do stajni i ogarnął wzrokiem okolicę.

Musiał przyznać, że to raj na ziemi. To właśnie tęsknota za panującym tu spokojem skłoniła go dzisiaj do wyjazdu z miasta, mimo iż obawiał się, że pobyt na farmie może przywołać nader bolesne wspomnienia. Spotkanie z George początkowo wytrąciło go nieco z równowagi, ale szybko uprzytomnił sobie, że bez niej to miejsce byłoby mniej czarowne.

Widział ją, jak pochylona w otoczonym murkiem ogródku warzywnym ścina zielone liście i układa je w płaskim koszyku.

Sam ogródek stanowił prawdziwe dzieło sztuki. Między trójkątnymi zagonami prowadziły wąskie, proste ścieżki, które niczym promienie słońca otaczały położony pośrodku, porośnięty najprzeróżniejszymi ziołami klomb. Całości zdawał się pilnować ustawiony w centralnym punkcie strach na wróble o wybitnie sympatycznej twarzy.

Po ustawionych w równych odstępach kratkach z bambusa wiły się świeże pędy młodego groszku i fasoli. Kiedy jeszcze tu mieszkał, na owym kawałku ziemi, sąsiadującym ze starym sadem, rosły jedynie wybujałe chwasty. Obecnie mogłaby się tu wyżywić całkiem spora kompania wojska.

George właśnie przykucnęła przy kolejnym zagonie i z pulchnej ziemi zaczęła wyciągać pomarańczowe, młodziutkie marchewki.

Bawełniane szorty ciasno opinały jej biodra. Przypomniawszy sobie, że kiedy jeszcze w stajni chwycił ją za ramiona, odniósł wrażenie, że nie włożyła dziś stanika. Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał zapanować nad podnieceniem. Musi działać ostrożnie, by jej nie wypłoszyć. Zdobyć pewność, że George podziela jego uczucia. Jakie to szczęście, że wpadł na pomysł, by odwiedzić dziś stare domostwo. Przecież nawet do głowy mu nie przyszło, że George nadal tu mieszka, i to w dodatku samotnie.

Od tygodnia zastanawiał się, jak doprowadzić do takiego spotkania we dwoje. Nie pojawiała się ostatnio w szpitalu, a nikt ze starych znajomych nie znał jej nowego adresu. Dzisiaj rano nawet powiedział Dougalowi, że widać los chce, by więcej się nie spotkali.

Przyjaciół oczywiście go wyśmiał i kazał mu przypomnieć sobie, jak wiele łączyło go niegdyś z George. Oddawszy się posłusznie wspomnieniom, Max zapragnął jeszcze raz zobaczyć ten dom, który zawsze stanowił dla niego symbol miłości i szczęścia. Pomyślał, że jeśli stare mury przetrwały te lata, może i dawne uczucie nie minęło jeszcze bezpowrotnie.

– George! – zawołał, podchodząc bliżej warzywnego ogródka. – Co się dzieje z tymi kurami? Strajkują?

Wyprostowała się i ogarnęła do tyłu opadające na twarz, kruczoczarne włosy.

– Ojej, pewnie szukałeś jajek w kurniku, tak? . – A gdzie miałem ich szukać?!

– Nigdy się tam nie niosą.

– Jasne. – Przechylił przewrotnie głowę. – Tylko dlaczego nie raczyłaś mnie o rym uprzedzić?

– Przepraszam, nie pomyślałam. – Speszyla się. – Chodź, pokażę ci, gdzie szukać. – Postawiła wypełniony zieleniną kosz na kamiennym murku i wyszła na ścieżkę.

– Sama urządziłaś ten ogród? George skinęła głową.

– Zbudowałam murek, żeby króliki nie mogły się dostać do środka No i Jacob, który jest wyjątkowym amatorem świeżych warzyw. – Opowiedziała Maxowi o niedawnej eskapadzie osła do ogrodu sąsiada Śmiejąc się w głos, kierowali się przez sad do wzniesionej z falistej blachy stodoły. – Używam tego starego siana jedynie jako ściółki w ogrodzie – wyjaśniła, wskazując na piętrzące się aż po dach bele suchej trawy. – Uważaj, bo jajka mogą być praktycznie wszędzie.

Po chwili poszukiwań wyciągnęła dwa dorodne jaja o zabarwionej na brązowo skorupce i ułożyła je na podłodze.

– Zapomniałam zabrać ze sobą koszyk – zmartwiła się.

– Nie szkodzi. – Max ściągnął z pleców koszulę. – I tak jest już brudna Przeniesienie w niej kilku jajek nie zrobi wielkiej różnicy.

Nieprawda pomyślała George. Szczególnie że widok nagiego, męskiego torsu sprawiał jej w tej chwili ogromną różnicę. Ze wszystkich sił starała się skupić uwagę na poszukiwaniu jajek. Max poszedł w jej ślady, aż zaczęli się ścigać, kto znajdzie więcej. Bawili się przy tym tak dobrze, że gdyby w końcu nie zapadł zmrok, pewnie długo jeszcze by nie przerwali. Żdźbła suchej trawy sterczały im z włosów, a śmiech odbijał się głośnie echem od blaszanych ścian stodoły.

W końcu Max zsunął się ze sterty siana na podłogę i wylądował tuż obok George, która zajęta była układaniem na koszuli chyba kilku tuzinów jaj.

– Przed rozbiciem będziemy musieli zanurzyć je w wodzie i wyrzucić te, które wypłyną na powierzchnię. Niektóre mogą mieć ze sto lat – zażartowała.

Zdawał się nie słyszeć jej słów. Wyciągnął przed siebie dłoń i zdjął z włosów George mały, pożółkły kłos.

– Bardzo mi Ciebie brakowało – powiedział cichym głosem. – Nawet jiiie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo.

– Mnie Ciebie też. Uśmiechnął się jakoś smutno.

– Popelniliśmy mnóstwo błędów, prawda?

Bez słowa pokiwała głową. Max wyjął kolejne żdźbło z jej włosów, po czym delikatnie pogładził ją po twarzy.

– Ale nadal za tobą szaleję.

Nie wykonała najmniejszego ruchu, tylko wpatrywała się w niego jak urzeczona. Nie potrafiła sobie wyobrazić bardziej pociągającego mężczyzny.

– Potrzebuję Cię, George.

– Ja Ciebie też.

Gładząc ją dłonią po włosach, pochylił twarz nad jej głową. Usłyszała, jak głośno przełyka ślinę.

– Mój Boże – westchnął. – Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę.

– Też cię pragnę, Max.

Kiedy przywarł wargami do jej ust, poczuł się dokładnie tak, jakby całował ją po raz pierwszy. Ten sam cudowny smak, te same pierwsze, nieśmiałe pieszczoty. Tyle że tym razem oboje wiedzieli, że nie poprzestaną na pocałunku. Palce Maxa wsunęły się pod bluzę George, która, oparta plecami o piętrzące się bele siana, poddawała mu się z rozkoszą. Jęknęła z cicha, czując jak silna, męska dłoń wędruje po jej rozgrzanej skórze.

– Dobry Boże! George, ty nie masz na sobie nawet majtek! – Odchylił głowę i spojrzał jej w oczy.

– Przecież mówiłam ci, że ubierałam się w pośpiechu. – Odnalazła ręką rozdarcie w dzinsach Maxa i wsunęła mu palce pod spodnie.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – powiedział, ujmując w dłonie jej twarz. – Bo nie będę w stanie przestać. Ale George ani myślała się teraz powstrzymać.

– Posłuchaj – odezwał się zduszonym głosem. – Nie mam niczego ze sobą. To znaczy, nie wziąłem prezerwatyw.

– Nie szkodzi. – Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę o bezpiecznym seksie, a tym bardziej o świadomym macierzyństwie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Bierzesz pigułkę? – Spojrzał jej prosto w oczy. – Mówiłaś przecież, że nie masz teraz nikogo?

– Bo nie mam. I niczego nie biorę.

– To co? Założyłaś spiralę?

– Nie.

– Mam rozumieć, że nie stosujesz żadnych środków?

– Właśnie – szepnęła. Max zmarszczył brwi.

– To znaczy, że nie obawiasz się, że możesz zajść w ciążę?

– W moim wieku to raczej mało prawdopodobne – roześmiała się. – A nawet gdyby tak się przypadkiem zdarzyło, raczej nie popadłabym w rozpacz.

– Słucham? – Max cofnął się o krok i popaczył na George z niedowierzaniem.

– Powiedziałaś, że perspektywa ciąży aż tak bardzo mnie nie przeraża – powiedziała tym razem mniej pewnie.

– Jezu! – Odsunął się jeszcze dalej. – Czyżby Dougal miał rację?

– Nie rozumiem.

– Mówił, że już nadszedł twój czas – wyjaśnił podniesionym głosem. – To nie mnie teraz pragniesz, George. Chodzi ci tylko o dziecko.

Mimo panującego wokół mroku musiał zauważyć, że twarz George oblała się rumieńcem. Nie potrafiła nie przyznać mu racji. Przecież i tak nie zrozumie, że kocha go aż tak bardzo, że jeśli nie może go zatrzymać, chce przynajmniej urodzić jego dziecko. Zresztą, był teraz tak wzburzony, że pewnie nawet nie raczyłyby jej wysłuchać.

– To nieprawda. – Mimo wszystko podjęła próbę wyjaśnienia. – Tylko ty się liczysz.

Nigdy nie było nikogo innego.

– Pewnie – odparł, rozglądając się wokół. – W końcu nieczęsto się zdarza, żeby facet wpadł na parę tygodni, a potem odjechał na drugi kraniec świata. – Wypatrzył leżącą na sianie koszulę. – Co tym razem próbujesz udowodnić, George? Że potrafisz samotnie wychować dziecko, nie rezygnując z pracy?

Gwałtownym ruchem wyciągnął koszulę spod sterty jajek, z których kilka z trzaskiem rozbiło się o podłogę.

– Przykro mi, ale nie możesz na, mnie liczyć – oznajmił, ubierając się szybko. – Nie zamierzam zostać ojcem, żeby potem nie oglądać własnego dziecka, nie widzieć, jak rośnie. Próbowałaś mnie wykorzystać. Nie mogę uwierzyć, że okazałaś się aż tak samolubna. – Odwrócił się na piecie i nie oglądając się za siebie, wyszedł na dwór.

George była zdruzgotana. Dlaczego nie skłamała? Dlaczego nie powiedziała, że stosuje jakieś środki? Czy tylko dlatego, że z trudem przyszłoby mu wtedy zaufać jej zapewnieniom, że nie ma innego mężczyzny w jej życiu? Nie, po prostu nigdy nie zdobyłaby się na to, żeby go okłamać.

Westchnęła ze smutkiem. Nic dziwnego, że Max tak się zirytował. Jej uwaga na temat ciąży musiała rzeczywiście zabrzmieć samolubnie. Do tej pory właściwie nie zastanawiała się nad jego stosunkiem do snuty przez siebie planów. Czyżby miał rację, oskarżając ją o egoizm, zapytała się w duchu, patrząc ze smutkiem na porzucane na klepisku skorupki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Wiesz co? Jednak jesteś łajdakiem.

– Słucham? – Max gwałtownie podniósł głowę znad biurka. Słowa przyjaciela kompletnie wytraciły go z równowagi.

Wsparty o kule, Dougal przykuśtykał do krzesła.

– Przez cały ranek rozmyślałem nad tym, co mówiłeś rai wczoraj wieczorem. I w końcu doszedłem do jednego możliwego wniosku, więc przyjechałem tu, żeby ci o nim powiedzieć.

– To znaczy?

Max usiłował przypisać nękający go od rana ból głowy przemęczeniu pracą, choć ilość whisky, jaką wypił wczoraj, relacjonując Dougalowi wydarzenia na farmie, z pewnością nie pozostawała bez wpływu na jego samopoczucie.

– Właśnie to, że jesteś łajdakiem.

– Dzięki.

Podpisawszy zlecenia dla laboratorium, Max podniósł się z krzesła i wyszedł na korytarz. O dziwo, mimo kul Dougal bez większego trudu dotrzymywał mu kroku.

– Spaliłeś za sobą mosty. – Szkot zdawał się nie zwracać uwagi na rosnące zniecierpliwienie przyjaciela. – Jak mogłeś zmarnować tak niepowtarzalną okazję?

Max rozejrzał się niespokojnie. Któryś z lekarzy właśnie zamknął za sobą drzwi prowadzące do poczekalni. W pobliżu nie było teraz nikogo, kto mógłby ich podsłuchać.

– Próbujesz mi powiedzieć, że powinienem być zostać. Przecież potraktowała mnie właściwie jak dawcę nasienia. Chyba domyślasz się, jak mnie tym upokorzyła.

– To jej określenie?

– Nie, ale nie miała najmniejszego zamiaru uważać, żeby nie zająć w ciążę. Miałaś rację. Ona teraz chce urodzić dziecko.

– No to co? Przecież ty też chciałbyś mieć potomka.

– Oczywiście, ale chcę też widzieć, jak rośnie. Pragnę zapewnić mu normalną rodzinę, rodzeństwo i mamę, która będzie na miejscu, kiedy na przykład skaleczy się w kolano.

– A kogo widzisz w takiej roli?

– To akurat nie ma nic do rzeczy.

– Właśnie że ma! – Dougal musiał zatrzymać się na chwilę pod ścianą, by przepuścić sanitariuszy z noszami. Ale po chwili znów deptał Maxowi po piętach. – No więc kogo? – nalegał.

– Przecież wiesz.

– Właśnie. Tylko ją jedyną bierzesz pod uwagę. Bo ją kochasz. – Westchnął głośno, jakby chciał podkreślić znaczenie swych słów. – A jak sądzisz? Dlaczego George wybrała właśnie ciebie?

– Trudno by jej było dorobić się dziecka w pojedynkę – mruknął Max. – Może doszła do wniosku, że akurat nadarza się sposobna okazja.

– Myślisz, że nie znalazłaby innych chętnych? – Dougal pokręcił głową. – Zastanów się

chwilę, człowieku. Ta kobieta może przebierać w facetach jak w ulegawkach. Kurczę,

– sam bym się chętnie ustawił w kolejce, tylko wiem, że nie mam u niej najmniejszych szans, – Spróbuj tylko, a będziesz miał ze mną do czynienia. – Max zmusił się do uśmiechu.

– Niewykluczone, że George faktycznie chce mieć dziecko. Ale nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że jeszcze bardziej pragnie jego ojca?

Odpowiedział mu wzruszeniem ramion. Może rzeczywiście potraktował ją zbyt ostro? Już wczoraj zaczęły dręczyć go wyrzuty sumienia. Nie mógł w ogóle zasnąć, tylko przez cały czas przypominał sobie coraz to nowe urywki rozmowy, jaką prowadzili w stodole. Czyż George nie wyznała mu, jak bardzo go pragnie? Czy nie powiedziała, że poza nim nie było nikogo w jej życiu?

Podniósł wzrok na przyjaciela.

– Mam dużo pracy – westchnął. – Jestem na nogach od siódmej. Już dawno wybiło południe, a nie miałem nawet czasu, żeby napić się kawy. Więc bądź łaskaw wyjaśnić mi, czy pojawiłeś się tu jedynie po to, żeby mnie nazwać lajdakiem?

– Nudziłem się sam w domu, więc postanowiłem zajrzeć do szpitala. Rozejrzę się trochę, może zdobędę jakieś nowe doświadczenia.

– Możesz trochę zawadzać. – Max spojrzął wymownie na szeroko rozstawione kule przyjaciela.

Pielęgniarka pchająca przed sobą inwalidzki wózek musiała się nieźle namanewrować, zanim udało się jej wyminąć niesprawnego Szkota.

– Chyba masz rację. Powinienem raczej wrócić do domu. Zresztą i tak dowiedziałem się już czegoś ciekawego.

– Tak?

– Właśnie zaczynają szukać lekarza na etat w pogotowiu lotniczym. Pomyślałem, że jeśli uda mi się przedłużyć pozwolenie na pracę, mógłbym się tam zatrudnić. To może być świetna zabawa.

– Zabawa?

– I to bogata w mocne wrażenia – ciągnął Dougal z właściwym sobie zapalem. – Praca na pierwszej linii walki o ludzkie życie! Ekstremalne warunki, trudne wyzwania! Oczywiście, nie jest to zajęcie na całe życie, ale na krótszą metę może dostarczyć fantastycznych przeżyć!

– Roześmiał się. – Może po południu – wybiorę się do czytelnicy i zobaczę, czy mają jakieś informacje na temat służb ratowniczych.

– Myślisz, że coś tam znajdziesz?

– Trzymają w komputerze całe roczniki lokalnych gazet, a o ile pamiętam, miejscowa prasa opisuje co ciekawsze akcje z udziałem śmigłowców.

– No to baw się dobrze. – Max otworzył drzwi do izby przyjęć. – Kto dzisiaj gotuje? – zapytał na odchodnym.

– Jak to kto? Ty! – Dougal zaśmiał się szelmowsko. – Może zrobisz tę swoja słynną rzymską pieczeń? Bardzo bym chciał jej spróbować.

Czasy, kiedy George, podobnie jak teraz Dougal, żadna była mocnych wrażeń, minęły bezpowrotnie. Pięć lat temu perspektywa spuszczenia się na Unie na pokład statku

dryfującego kilka mil od brzegu stanowiłaby dla niej wyzwanie, któremu nie potrafiłaby się oprzeć. Tymczasem dzisiaj myśl o akcji ratowniczej na pełnym morzu napawała ją lękiem.

Wezwanie dotyczyło rannego członka załogi, który uległ poważnemu wypadkowi w maszynowni. Miał zmiążdżoną rękę, utracił dużo krwi, a informacje przekazane ratownikom drogą radiową wskazywały, że jego stan jest ciężki.

Ted Scott, któremu przyszło dziś siedzieć za sterami śmigłowca, pozostawał w stałym kontakcie z kapitanem statku. Wszelkie operacje na morzu są wyjątkowo trudne ze względu na skomplikowaną procedurę opuszczania ratownika na będące w ruchu miejsce lądowania oraz duże prawdopodobieństwo zahaczenia się liny o maszty i umocowane do nich anteny.

Ze względu na stan rannego, tym razem wciągnięcie go na pokład śmigłowca w zawieszonym na linie siodełku nie wchodziło w grę, więc oprócz worka ze sprzętem George musiała dodatkowo przytwierdzić do pasa specjalne, zbudowane z lekkich materiałów nosze.

– Jeszcze dziesięć metrów – poinformowała Murraya, który stojąc na płozie śmigłowca, kierował akcją. – Pięć.

Maszty statku znajdowały się niebezpiecznie blisko po jej prawej stronie.

– Wciągnijcie linę na pokład. – Ted przez radio przekazał polecenie załodze.

Uderzenie stóp o deski pokładu okazało się tak bolesne, że George pomyślała, iż chyba ostami raz bierze udział w tak trudnej operacji. Jednak przynajmniej na razie nie miała czasu na rozczulanie się nad własną osobą. Musiała jak najprędzej przygotować rannego do transportu.

Szybko zamieniła opatrunek założony przez przeszkolonego w udzielaniu pierwszej pomocy członka załogi na opaskę uciskową zapobiegającą dalszemu upływowi krwi. Wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Znajdujący się w głębokim szoku pacjent wymagał natychmiastowego podania płynów infuzyjnych. Z pomocą marynarzy ułożyła rannego na noszach, zapięła dokładnie zabezpieczające go pasy, przymocowała haki i kciukami dała załodze śmigłowca znak do rozpoczęcia manewru podnoszenia.

Kiedy znalazła się z powrotem na pokładzie helikoptera, oboje z Murrayem natychmiast przystąpili do akcji ratującej życie. Przez całą godzinę lotu do szpitala w Christchurch walczyli z wywołanym hipowolemią szokiem, podając rannemu przez kroplówkę możliwie największą ilość płynów i wentylując jego drogi oddechowe. Nie odstępili od pacjenta nawet po przekazaniu go zespołowi reanimacyjnemu. Dopiero kiedy jego stan pozwalał na bezpieczne przewiezienie na salę operacyjną, pozwolili sobie na chwilę odpoczynku.

– Zanim skończymy na dzisiaj, musimy jeszcze sporządzić raport – przypomniał Murray.

George skinęła głową. Była zmęczona, bolały ją plecy i marzyła o jak najszybszym powrocie do domu. Ale nade wszystko nie miała ochoty na rozmowę z Johnem Maxwelllem pochylonym właśnie nad tym samym biurkiem, na którym nieświadomy niczego Łoś rozkładał wyjęte z torby formularze.

– Wszystko w porządku, George? – Murray zaniepokoił się na widok jej niepewnej miny.

– Tak. – Kątem oka uchwyciła skierowane na siebie spojrzenie Maxa. – Tylko gotuję się w tym wodoszczelnym kombinezonie. ~ Do akcji na morzu ratownicy używali strojów ze specjalnej gumowej pianki.

– To go zdejmij.

– Może później. – Przecież nie mogła pokazać się w szpitalu w samej bieliźnie.

– O ile się nie mylę, mamy tu gdzieś zwykły zapasowy kombinezon. – Murray od razu zorientował się, w czym problem. – Poczekaj, spróbuję go znaleźć.

Zanim zdążyła zaprotestować, wyszedł z sali, pozostawiając ją sam na sam z Maxem. Usiadła ze złością na krześle i sięgnęła po długopis. Przynajmniej zacznie pisać ten nieszczęsny raport.

– Nie wyglądasz najlepiej. – Max podniósł głowę znad własnych papierów.

– Dziwisz się? – odparła ze wzrokiem utkwionym w blat biurka. – Jeśli przeszkadza ci moja obecność, mogę się przenieść gdzie indziej.

– Skąd – odparł bez chwili wahania. – Chciałbym cię przeprosić.

Nie odezwała się.

– Przyznaję, że zareagowałem zbyt ostro. Naprawdę bardzo mi przykro – mówił prawie szeptem.

– Nie przejmuj się. – Starła się zachować spokój. – Miałaś rację. Zachowałam się nieodpowiedzialnie i samolubnie. – Na moment podniosła wzrok. – Zresztą nie pierwszy raz, prawda?

Na samo wspomnienie wszystkiego, co zaszło wczoraj na farmie, znów zaczęło dręczyć ją poczucie winy. Zaczęła wręcz wątpić, czy kiedykolwiek zdoła odzyskać szacunek dla samej siebie.

Max wyraźnie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie do sali wszedł Murray z przewiewnym kombinezonym w dłoni.

– Widzisz, udało mi się go znaleźć. O ile się nie mylę, należy do Rossa, więc pewnie będziesz musiała podwinąć nogawki i rękawy.

– Dzięki. W takim razie idę się przebrać. – George podniosła się ostrożnie, lecz mimo to na jej twarzy pojawił się wyraz bólu.

Murray zmarszczył brwi.

– Uderzenie o pokład było bardzo silne, więc może jednak powinnaś dać się przebadać.

– Nic mi nie jest. – Rzuciła koledze spojrzenie mówiące wyraźnie, że nie życzy sobie drażenia tematu.

– Jakie uderzenie? – zaniepokoił się Max.

– To nieuniknione przy opuszczaniu się na linie na pokład statku, szczególnie kiedy morze jest, tak jak dzisiaj, wzburzone – wyjaśnił Murray. – Choćbyś zachował największą ostrożność, pokład i tak rąbnie cię w stopy. Nawet jeśli załoga statku wie, co robi, i odpowiednio trzyma linę.

Nie przerywając wywodów Łosia, George wyszła do przebieralni. Zmieniła kombinezon na lżejszy, a przy okazji łyknęła dwie tabletki panadolu. Wracając do sali, czuła się już o całe niebo lepiej. Zastała obu mężczyzn pograżonych w rozmowie.

– To jak, skończyłeś ten raport? – zapytała.

– Nawet nie zacząłem. Ale to jego вина – usprawiedliwiał się Murray. – Zaczął się strasznie interesować pracą w pogotowiu lotniczym.

~ To niesamowite, czego potraficie dokonać. – Max popatrzył George prosto w oczy. – Gdybyście nie zabrali tego gościa ze statku i nie zajęli się nim tak szybko, wątpię, czy zdołaliby przeżyć. To naprawdę imponujące.

– Dzięki. – George starała się nie okazać wrażenia, jakie wywarły na niej te słowa. Oto po raz pierwszy w życiu John Maxwell wyraził się z szacunkiem o jej pracy. – Wy też musicie się nieźle napracować. Ratowanie pacjentów z opresji pozbawione byłoby większego sensu, gdyby nie spotykali się z fachową pomocą z waszej strony.

– Wszyscy należymy do tego samego zespołu. – Murray przerwał na chwilę pisanie i z zaciekawieniem przyjrzał się najpierw George, a potem Maxowi. – Może wpadniesz któregoś dnia do bazy, to pokażę ci, jak to wszystko funkcjonuje. Wiesz, że podobno mają nam przysłać lekarza na etat?

– Słyszałem. Będę cię trzymał za słowo, bo z chęcią dowiedziałbym się czegoś więcej.

George z trudem przełknęła ślinę.

– Zbiorę sprzęt i poczekam na ciebie przy śmigłowcu – zwróciła się do Murraya. – Przy okazji zaniosę Tedowi kubek gorącej herbaty i aspirynę. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie wygląda dzisiaj najlepiej.

– Pewnie łapie go przeziębienie. – Łoś ponownie pochylił się nad papierami. – Zaraz do was przyjdę. Już prawie skończyłem.

Szybko zaparzyła herbatę i ze styropianowym kubkiem w dłoni powędrowała na górę. Z dachu szpitala rozpościerał się piękny widok na rzekę, równo przystrzyżone trawniki i bujny drzewostan pobliskiego ogrodu botanicznego. Jednak dziś George nawet nie zwróciła uwagi na niezwykłą urodę tego miejsca.

Zastanawiała się, skąd u Maxa tak nagle pojawiło się zainteresowanie jej pracą. Co sprawiło, że uznał za stosowne okazać jej podziw, i to teraz, kiedy jej kariera w lotnictwie ma się ku końcowi. Jeśli nawet zostanie w pogotowiu, będzie siedziała za biurkiem, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Szkoda, że zrozumienie z jego strony przyszło tak późno. Równie późno jak jej własne pragnienie, by rzucić pracę i poświęcić się rodzime. Pragnienie, które Max tak błędnie wczoraj odczytał. George zdawała sobie sprawę, że nie potrafi zaradzić temu, co się stało, i że tylko siebie może za to winić.

KJops z mielonej wołowiny wymieszanej z cebulą i przyprawami bynajmniej nie wyglądał apetycznie. Max ukroił gruby plaster, lecz zanim zdążył położyć go na talerzu, mięso rozpadło się na kilka drobniejszych kawałków.

– To właśnie – wyjaśnił, podając danie przyjacielowi – jest pieczeń rzymska.

– Wygląda trochę jak salceson – roześmiał się Dougal. – Chyba będzie mi smakować.

– Może chcesz trochę keczupu?

– Nie, dziękuję. – Dougal przełknął pierwszy kęs. – Jest pyszna. Ale nie pogardziłbym flaszeczką piwa.

– Świetny pomysł. – Max podniósł się z krzesła i wyjął z lodówki kilka dobrze schłodzonych butelek. – Czyżby aż tak bardzo cię zmartwił mój brak talentów kulinarnych? – zapytał, widząc, że przyjaciel przygląda się mu dziwnym wzrokiem.

Dougal zachichotał i odsunął od siebie talerz.

– Może jednak zamówimy pizzę?

– Czemu nie? – Max właściwie w ogóle nie odczuwał dziś głodu. – Ale mówiąc serio, o czym tak rozmyślasz?

– O śmigłowcach.

– A co? Znalazłeś coś ciekawego?

– Nawet więcej niż się spodziewałem. Mają tu świetną wyszukiwarkę w komputerze. Wystarczy wpisać interesujące cię słowo i za chwilę dostajesz wszystkie materiały jak na talerzu.

– No i?

– Nie wyobrażasz sobie, na czym polega ta praca. Nie ma praktycznie żadnej katastrofy, do której nie wysłano by śmigłowca. Nawet setki kilometrów stąd. Ratownicy muszą być zawsze i wszędzie, jak się rozbije samochód czy pociąg, jakiś rolnik zostanie ranny w polu, turysta spadnie w przepaść albo kogoś zasypie lawina. Zabierają chorych nawet ze statków.

– Wiem. Właśnie dzisiaj mieli akcję na morzu. George wciągała na linie faceta, któremu prawie urwało rękę. Świetnie sobie poradzili. Praktycznie jeszcze w czasie lotu zdołali ustabilizować stan pacjenta.

– To niesamowita kobieta.

– Tylko nie zaczynaj wszystkiego od początku – jęknął Max. – Zdawało mi się, że ustaliliśmy już, że to nie partia dla ciebie.

– Nie o tym mówię – odparł Dougal powoli. – Znalazłem coś, co jak sądzę, powinieneś przeczytać. – Sięgnął po leżącą na stole papierową teczkę i wyjął z niej fotokopie artykułu z lokalnej gazety. – Popatrz.

Max natychmiast rozpoznał postać na zdjęciu. George stała w drzwiach helikoptera z roześmianą od ucha do ucha twarzą. Tytuł artykułu wyjaśniał przyczyny jej zadowolenia: „Cudowny powrót do zdrowia kobiety ratownika”. Ze zgrozą zagłębił się w lekturę. „Georgina Collins, pierwsza w historii naszego kraju kobieta ratownik, zadziwiła wszystkich, wracając dziś do pracy w pogotowiu lotniczym. Jeszcze sześć miesięcy temu lekarze nie dawali jej szans na przeżycie”. Relacja z wypadku, jaki miał miejsce w czasie ćwiczeń z ratownictwa górskiego, zawierała dramatyczny opis George leżącej samotnie na stoku ze złamanym kręgosłupem, akcji ratunkowej przedsięwziętej przez jej przyjaciół, oraz wielu miesięcy heroicznych, zakończonych pełnym sukcesem zmagania z groźącym jej kalectwem.

Artykuł kończyło zdanie wypowiedziane przez George w dniu powrotu do pracy: „Ratownictwo to całe moje życie. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym robić cokolwiek innego”. Max sprawdził datę artykułu. Pochodził sprzed dwóch i pół roku.

– Przecież mogła się zabić – powiedział ze ściśniętym gardłem, zakończywszy lekturę.

– Na to wygląda. Ale nawet to nie potrafiło *j&j* zniechęcić.

– Cholernie niebezpieczna robota.

– Właśnie. Dlatego nie będę się jednak ubiegać o ten etat – obwieścił Dougal, pociągając piwo z butelki.

– Tak? – Max nie odrywał wzroku od zamieszczonego w gazecie zdjęcia. – To dobrze, bo ja pewnie tak.

- Nie rozumiem.
- Mówię, że niewykluczone, że sam złożę podanie.
- Zwariowałeś? A co z twoją pracą w Glasgow?
- I tak nie wyjadę stąd bez George – oznajmił. – A całkiem możliwe, że w ogóle zrezygnuję z wyjazdu. Muszę się nad tym wszystkim dobrze zastanowić.
- Więc lepiej chodź nogami po ziemi. W szpitalu brakuje lekarzy. Podobno mają niedługo ogłosić konkurs na konsultanta izby przyjęć.
- Ale w bazie lotniczej będę mógł częściej widywać się z George.
- Narażając się przy tym na duże ryzyko.
- Sam przekonywałeś mnie dzisiaj, że to fascynujące zajęcie.
- Tylko że wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, jak to naprawdę wygląda. – Dougal postukał palcem w artykuł.
- Jak często mają miejsce takie wypadki? Było ich więcej?
- Chyba nie, W każdym razie nic na ten temat nie pisali.
- I jak sam zauważyłeś, mimo odniesionych obrażeń George nie porzuciła pracy.
- Niby tak – odparł Dougal bez przekonania.
- Jest takie jedno powiedzenie, wiesz?
- Jakie?
- Jeśli nie możesz czegoś zwalczyć, musisz to polubić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Czyżby Rudy cierpiał dziś na bezsenność?

– Dlaczego? – Murray zaczekał, aż George wyjmie z samochodu torebkę z drugim śniadaniem.

– Dopiero dochodzi siódma, a on już przygotował śmigłowiec do startu. Dziwne. – Spojrzała na połyskujący w porannym słońcu helikopter. – Czyżbyśmy mieli już jakieś wezwanie?

Murray pokręcił głową.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Poza tym Ted ma dziś wolne. Przeziębienie rzuciło mu się na uszy, więc uznaliśmy, że będzie lepiej, jak zostanie w domu. Brzytwa zgodził się go zastąpić.

– Ach tak. – George nie była zachwycona zmianą pilota. – No to wszystko jasne. Ted przynajmniej wypiłby kawę przed przystąpieniem do pracy.

– Podobnie jak my, prawda? – roześmiał się Łoś. – Nie mówiłem ci jeszcze, co nas dziś czeka, jeśli nie dostaniemy żadnego zlecenia.

– Tylko nie kolejna inwentaryzacja – jęknęła.

– Obawiam się, że tak. A co jeszcze gorsze, ma tu dziś zajrzeć Phil Warrinton. Podejrzewam, że będzie chciał pogadać z tobą o ewentualnej pracy w dyspozytorni.

– Chyba powinnam była pójść w ślady Teda i zostać w domu – odparła z westchnieniem.

– Jak się o tym wszystkim dowiedziałaś?

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Długim. Też przychodzą dziś z Rossem do bazy, bo udało im się wyłowić sprzęt, który w zeszłym tygodniu wpadł do morza. Muszą go dziś zakonserwować.

– Czyli dzień zapowiada się nam ciekawie – mruknęła, kiwając na powitanie dłonią do Jacka Burgessa, który właśnie pojawił się w drzwiach śmigłowca. Zapał, z jakim Brzytwa traktował swój zawód, napawał ją lękiem. – Wcale się nie zmartwię, jeśli przyjdzie nam spędzić ten dzień na terenie bazy.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy jednak dostali jakieś wezwanie – roześmiał się Murray. – Zwłaszcza że będziemy mieć jeszcze jednego gościa. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie John Maxwell i zapowiedział się z wizytą. Głupio by było, gdyby odniósł wrażenie, że zionie tu nudą.

Nawet perspektywa spotkania z Maxem nie była w stanie poprawić George humoru. Mimo że przeprosił ją wczoraj za swoje zachowanie na farmie, a nawet wyraził podziw dla jej dokonań, nadal była przekonana, że dzieląca ich przepaść jest zbyt głęboka, by kiedykolwiek zdołali ją pokonać. Otrząsnęła się. Nie może przecież dopuścić, żeby osobiste przeżycia zaczęły przeszkadzać jej w pracy.

– No to bierzmy się do roboty – powiedziała, przelitykając ostatni łyk kawy. – Im prędzej uporamy się z tą cholerną inwentaryzacją, tym lepiej.

Minęło wpół do dziewiątej, a do bazy nie dotarło nadal żadne wezwanie. George i Murray

mozolnie porządkowali sprzęt.

- Weźmy się teraz za maski tlenowe. Ile powinniśmy mieć na składzie?
- Pięćdziesiąt – A zostało tylko dziesięć. A inhalatorów?
- Dwadzieścia.

Murray przeliczył zapasy i podyktował wyniki, które George zapisała w specjalnym zeszycie.

- Co zamierzasz odpowiedzieć Philowi? Chcesz przyjąć jego ofertę? – zapytał zniechęca.
- Sama nie wiem – odparła z westchnieniem. – To trudna decyzja.
- Rozumiem. – Głos Łosia przepojony był współczuciem.
- Praca w ratownictwie lotniczym była moim największym marzeniem. Wiesz, że nawet zerwałam zaręczyny, żeby się tutaj zatrudnić.

– Nigdy nic na ten temat nie mówiłaś. – Murray popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Bo kiedy się tu pojawiłam, było już po wszystkim. Zresztą nawet w mojej poprzedniej pracy mało kto orientował się, że kogoś mam. Oboje pracowaliśmy do późna, więc każdą wolną chwilę staraliśmy się spędzać w domu.

– Czym się zajmował twój chłopak?

– Był lekarzem.

– Znam go?

– Raczej nie. – George utkwiała wzrok w zeszycie. Właściwie nie minęła się z prawdą. W końcu Murray wczoraj po raz pierwszy miał okazję porozmawiać z Maxem. – Sprawdź, ile jest sterylnych opatrunków w dużym rozmiarze. Powinniśmy mieć dziesięć.

– Zostały tylko trzy. – Murray uważnie popatrzył na George spod przymrużonych powiek. – I od tamtej pory jesteś sama?

– Nie spotkałam nikogo odpowiedniego. I chyba już nie spotkam.

Na twarzy starszego kolegi pojawił się dobrze jej znany wyraz zatroskania. Był dobrym, mądrym człowiekiem i George zawsze wysoko ceniła sobie jego rady.

– A on? Czy podobnie jak ty, żałuje waszego rozstania?

– Nie jestem pewna, ale raczej tak. – Czyż Max nie powiedział jej nie dalej jak przedwczoraj, że niezmiennie darzy ją uczuciem?

– Ożenił się?

– Nie.

– A widujecie się czasami?

– Tak, ale dopiero od niedawna. – George pragnęła już zmienić temat rozmowy. W każdej chwili Max mógł pokazać się w bazie. Obawiała się, że Murray może nieświadomie powiedzieć coś, co jeszcze bardziej skomplikuje sytuację. – Przeliczyłeś już bandaże?

Łoś zdawał się nie usłyszeć pytania.

– Życie potrafi płatać okrutne figle. Nieraz wydaje się nam, że dokonujemy słusznego wyboru, i dopiero czas pokazuje, że droga, którą idziemy, prowadzi donikąd – stwierdził jakby bez związku. – Ale jeśli nie jest jeszcze za późno, zawsze można wrócić na rozstaje i pójść nową drogą.

George dobrze rozumiała słowa przyjaciela.

– Tyle że obawiam się, że ta druga droga w międzyczasie porosła dżunglą, w której wije się rzeka pełna krokodyli.

– W takim razie będziesz musiała przetrzucić nad nią kładkę.

– Myślisz, że to takie proste? – zaśmiała się z goryczą.

– Nie – odparł poważnie. – Ale to, co w życiu najważniejsze, nigdy nie przychodzi zbyt łatwo.

– To prawda. ~ Miała już szczerze dosyć tej rozmowy. Jeszcze chwila, a zaleje się łzami i opowie Murrayowi o wszystkim. – Weźmy na przykład taką inwentaryzację. He się trzeba przy niej narobić! Ale chyba zaczynam już widzieć światło na końcu tunelu. Ile mamy tych bandaży?

Kiedy nadeszła pora lunchu, przeliczanie sprzętu mieli za sobą, a George zdążyła już nawet odbyć długą rozmowę z Philem Warringtonem. Nadal nie dostali żadnego wezwania, więc razem z Mikiem Binghamem i Rossem White'em siedzieli w pokoju służbowym i popijali kawę. Max, który przed kilkanaście minutami pokazał, się w bazie, odbierał właśnie pierwsze wskazówki od Murraya i Jacka.

– Zawsze musisz znajdować się w polu widzenia pilota.

I pamiętaj, że w żadnym wypadku nie wolno ci się zbliżyć do śmigłowca od tyłu – tłumaczył Jack Burgess.

– Poza tym nigdy nie próbuj wsiadać czy wysiadać w trakcie włączania albo wyłączenia silników – wtrącił Murray.

– A gdyby wpadł ci do oczu kurz wzniecony przez śmigło, po prostu klęknij na ziemi i czekaj na pomoc.

– Rozumiem.

– Sprawdzę, czy uda mi się znaleźć pasujący na ciebie kombinezon. – Łoś zmierzył wzrokiem roslą sylwetkę lekarza. – Będzie ci też potrzebny hełmofon.

– A co? Spodziewacie się wezwania? – zapytał Max.

– Nie. Od rana telefon milczy – odrzekła George. – Bywa, że przez cały dzień nie mamy żadnego zlecenia.

Jakby na przekór jej słowom, w kieszeniach ratowników rozdzwoniły się komórki.

– Dzięki, George. – Jack roześmiał się radośnie. – Udało ci się chyba zdjąć z nas jakiś urok.

Wezwanie było pilne. Nad brzegiem rzeki znaleziono półprzytomnego mężczyznę, przygniecione go przez maszynę rolniczą. Jego stan był na tyle poważny, że karetka pogotowia mogła nie zdążyć z pomocą na czas, George szybko odszukała odpowiednio duży kombinezon i podała go Maxowi. Zanim się przebrał, załoga czekała już na pokładzie śmigłowca, przygotowana do startu. Z informacji otrzymanych przez radio wynikało; że przynajmniej na razie ranny nie ma problemów z oddychaniem, więc Murray polecił, aby nikt nie próbował wyciągać go spod przygniatającego go żelastwa. Jeżeli doszło do poważniejszych obrażeń narządów wewnętrznych, zmniejszenie ucisku groziło niebezpiecznym zwiększeniem krwawienia, którego skutkom zapobiec mogło jedynie natychmiastowe podanie płynów infuzyjnych.

Krótki lot nad praktycznie płaskim terenem nie dał Jackowi okazji do popisania się przed Maxem swymi niezwykłymi umiejętnościami. Nawet lądowanie nie stanowiło większego problemu, gdyż szeroki, pokryty żwirem brzeg rzeki okazał się wymarzoną wręcz lądowiskiem.

Nieszczęsny rolnik najwyraźniej spadł razem z ciągnikiem z nadbrzeżnej skarpy. Otaczała go teraz spora grupka okolicznych mieszkańców, którzy odetchnęli z ulgą na widok lądującego śmigłowca.

– Widzisz, mówiłem ci, że zaraz przylecą – pocieszał rannego pochyłony nad nim mężczyzna.

– Jestem George, a to Murray i Max – powiedziała, starając się nawiązać kontakt z pacjentem. – Co się stało?

W odpowiedzi usłyszała jedynie przeciągły jęk.

– Rozmawiał z wami? – zapytała stojących obok ludzi.

– Tak, jeszcze minutę czy dwie temu.

– I co mówił? – Murray klęczał przy rannym i wsunawszy dłoń pod żelazną ramę, próbował ocenić obrażenia. W tym czasie George podała pacjentowi tlen i zmierzyła mu puls.

– Że nie czuje nóg i z trudem porusza rękami. Cały czas chciał, żeby go wyciągnąć, ale dostaliśmy polecenie, żeby niczego nie ruszać.

– Nie wiecie, jak długo tu leży?

– Chyba kilka godzin. Wyszedł z domu po szóstej rano, ale nikt nie widział, kiedy się zdarzył wypadek.

– Idę po sztywne nosze i kołnierz – rzekł Murray i podniósł się z ziemi.

W przypadkach przygniecenia ciężkim sprzętem uszkodzenie kręgosłupa należało do częstszych urazów, a objawy, na które skarżał się ranny, zdawały się potwierdzać właśnie taką diagnozę.

– Trzeba podłączyć kroplówkę. – Max otworzył torbę ze sprzętem i zajrzał do środka. – Gdzie tu może być wenflon?

– Tutaj. – George wskazała na odpowiednią przegródkę. – A tu obok masz igły i tampony. Pojemniki z płynem infuzyjnym znajdziesz na samym dnie. Potrzebujesz pomocy?

– Zmierz mu ciśnienie i podłącz przenośny monitor.

George podwinęła przesiąknięty krwią rękaw koszuli rannego i okręciła mu wokół ramienia pasek ciśnieniomierza.

– Osiemdziesiąt pięć na siedemdziesiąt – poinformowała po chwili.

Lekarz skinął głową i wkłuwszy igłę w żyłę pacjenta, założył wenflon.

– Możesz podłączyć kroplówkę? – zwrócił się do Murraya, który właśnie wrócił z noszami na miejsce wypadku. – Zanim założymy kołnierz, muszę obejrzeć tętnice szyjne i tchawicę.

Zapadnięcie tętnic na szyi wskazywałoby na poważne krwawienie narządów wewnętrznych. Na szczęście tym razem obawy Maxa okazały się nieuzasadnione. Niewykluczone jednak, że tak jak w przypadku pierwszego pacjenta, którego George ratowała przed laty z Maxem, złamane żebro uszkodziło mięsień serca. Widoczne na ekranie monitora

zaburzenia rytmu serca kazały jej brać pod uwagę i taką możliwość. Chyba że mimo młodego wieku ranny jeszcze przed wypadkiem cierpiał na niewydolność krążenia i spowodowana nią utrata przytomności była bezpośrednią przyczyną wypadku. George zauważyła, że myśli Maxa biegną w tym samym kierunku.

– Nie mówił, jak doszło do wypadku? – lekarz zapytał ; zebranych. – Może stracił przytomność albo zaczął odczuwać ból w klatce piersiowej?

– Nie. Twierdził, że podjechał za blisko skarpy i ziemia zapadła się pod ciężarem ciągnika.

Powierzywszy trzymanie pojemnika ze spływającym do żyły płynem stojącemu najbliżej mężczyźnie, Murray wspólnie z Maxem umieścił ortopedyczny kołnierz na szyi pacjenta.

– Teraz spróbujemy zdjąć z niego to żelastwo.

Z pomocą obserwujących akcję ratowniczą mężczyzn podnieśli ciągnik, po czym ostrożnie ułożyli rannego na noszach. Niestety, jego stan gwałtownie się pogorszył. Zaburzenia rytmu serca przybrały na sile. Widząc, że samo podanie tlenu nie przynosi pożądanych skutków, George zajęła się wentylowaniem chorego, podczas gdy Max podawał mu leki wspomagające krążenie.

– Migotanie komór. – Murray nie odrywał wzroku z ekranu monitora.

– Defibrylacja, szybko! – Max rozerwał koszulę na piersiach pacjenta i uniósł w górę elektrody. – Cofnijcie się – polecił.

Upewniwszy się, że wszyscy odsunęli się na bezpieczną odległość, przyłożył obie elektrody do klatki piersiowej chorego. Pojedynczy wstrząs wystarczył, by przywrócić normalny rytm, lecz po chwili dodatkowe skurcze pojawiły się znowu. Max uważnie osłuchiwał pacjenta.

– Płuca czyste – powiedział. – Możemy wykluczyć przebicie opłucnej. Bicie serca przytłumione.

– Czyli co? Tamponada serca? – domyślił się Murray.

– Podejrzewam, że tak. Macie sprzęt do nakłucia osierdzia?

– Nie mamy uprawnień do takich zabiegów – wyjaśniła George. Usuwanie krwi z osierdzia zawsze wiąże się z ryzykiem uszkodzenia mięśnia sercowego, a w polowych warunkach, w jakich zwykle pracują ratownicy, byłoby zabiegiem podwójnie ryzykownym.

– Ale ja mam i z przyjemnością wam pomogę. Będzie mi potrzebna dwudziestomilimetrowa strzykawka i długa igła. najlepiej osiemnastka, zacisk i kilka tamponów.

Ratownicy spojrzeli po sobie. Oboje zdawali sobie sprawę, że usunięcie nawet dwudziestu mililitrów krwi z jamy osierdzia może uratować rannemu życie.

– Zaraz wszystko przyniosę. Tylko że nie mamy igieł kardio-chirurgicznych. Ale może wystarczy ci podobna w sumie igła, jakiej używamy do dekompresji klatki piersiowej.

– Jak najbardziej. – Max już dezynfekował skórę na piersiach nieprzytomnego mężczyzny.

– No to zaczynamy. Obserwujcie uważnie monitor. Ustawwszy strzykawkę pod odpowiednim kątem, wbił igłę. Właśnie w tej chwili w oddali rozległ się dźwięk syreny.

– Jest karetka. – Murray spojrział na zegarek. – Jechali tu ponad piętnaście minut.

Śmigłowiec pokonał tę trasę trzy razy szybciej. To znaczy, zdziwiła się George, że minęło dopiero dziesięć minut. Tymczasem mogłaby przysiąc, że są tu już ponad godzinę.

– Mam – obwieścił Max z satysfakcją, patrząc, jak strzykawka wypełnia się krwią.

– Rytm wraca do normy. – Poprawa stanu pacjenta nastąpiła prawie natychmiast.

– W takim razie jeszcze raz zmierzmy mu ciśnienie i możemy lecieć do szpitala. – Twarz lekarza promieniała radością.

Kiedy ponad godzinę później znaleźli się z powrotem w bazie, Max nadal z trudem panował nad podnieceniem.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się pracować w tak nietypowych warunkach.

Mike Bingham i Ross White rozłożyli nieopodal hangaru brezentową płachtę i rozkoszując się promieniami wiosennego słońca, usiłowali doprowadzić do porządku wyłowiony z morza sprzęt.

– Ale pobjowisko. – George popatrzyła z ubolewaniem na porozrzucane narzędzia.

~ Żebyś wiedziała. – Mike podniósł do góry ociekający wodą ciśnieniomierz. – Cały zamókł. Pewnie nadaje się tylko na szmelc.

– Odeślij go do serwisu. Może coś poradzą.

– Wątpię, ale co tam u was? – zapytał, przyglądając się, jak Murray i Max wyciągają ze śmigłowca worki ze sprzętem. – Jak wam poszło z tym nowym doktorkiem?

– W porządku. – George bynajmniej nie zamierzała okazywać entuzjazmu, zwłaszcza że perspektywa stałej współpracy z Johnem Maxwelllem raczej nie napawała jej radością.

– Ale jak było? Kazał wam stać z boku i we wszystko się wtrącał? – zapytał Ross.

– Niezupełnie – odparła, spoglądając na zbliżającego się Maxa, za którym podążał roześmiany od ucha do ucha Łoś.

– Nie uwierzycie! – zawołał Murray w kierunku kolegów. – Świstak pierwszy raz pierwszy poleciał na akcję i już zdążył wykonać nakłucie osierdzia. Gdyby nie on, facet by nie przeżył.

– Co? – Obaj ratownicy aż zerwali się na równe nogi. Mike rzucił George zdziwione spojrzenie. Dlaczego ani słowem nie wspomniała im o tak niebywałym zdarzeniu?

– Właśnie – ciągnął Murray z miną przepojonego dumą, młodego ojca. – Kiedy przylecieliśmy na miejsce, facet leżał przygnieciony przez ciągnik. Jak tylko zdjeliśmy z niego to żelastwo, zaczął nam odjeżdżać w takim tempie, że gdyby nie...

George nie słuchała, tylko stała bez ruchu i wpatrywała się w Maxa. Świstak? Nie minęło pół dnia, a już otrzymał przydomek? Tak szybko przyjęli go do zespołu? Z drugiej strony musiała przyznać, że jasne pasmo włosów nad skronią Johna Maxwella rzeczywiście budziło skojarzenie z owym niewielkim, sympatycznym gryzoniem.

– Gdyby nie Max, nie zdołalibyśmy go dowieźć żywego. – Murray poklepał Masa po ramieniu. – i pomyśleć, że jeszcze niedawno uważaliśmy, że niepotrzebny nam tu lekarz.

– Oboje wiecie, że bez was nie dałbym sobie rady. Byliście wspaniali – wtrącił Max, kierując spojrzenie na George, która poczuła się dokładnie tak samo jak owego pamiętnego dnia, kiedy po raz pierwszy asystowała mu przy zabiegu. Tyle że teraz ponad wszystko

pragnęła powiedzieć mu, że są sprawy ważniejsze niż praca.

– W takim razie, Świstaku....

Słowa Mike'a przerwał dobiegający z biura głośny dzwonek telefonu.

– Odbiorę. – George szybkim krokiem weszła do budynku. – Mamy nowe zlecenie – oznajmiła, wróciwszy po paru minutach do przyjaciół. – Trzeba będzie przetransportować z West Coast pacjentkę po operacji. Ale dopiero za jakieś dwie godziny, bo na razie próbują ustabilizować jej stan. Prosilili o eskortę medyczną.

– Z tym akurat nie powinniśmy mieć dzisiaj problemu.

– Murray popatrzył pytająco na Maxa. – Masz ochotę na jeszcze jedną wycieczkę?

Max przyjrzał się George z wahaniem.

– Jeśli masz inne plany na dzisiaj, to nie ma sprawy. Zawsze mamy lekarza pod telefonem. Zostało jeszcze sporo czasu, więc powinien zdążyć dojechać bez problemu.

– Miałbyś okazję zorientować się lepiej, na czym polega ta rwąca – zachęcał Ross. – Oczywiście, jeśli zamierzasz się o nią starać.

Jack, który dotąd w pewnym oddaleniu palił papierosa, podszedł do grupy i z zaciekawieniem spojrział na kolegów.

– Wybieramy się dokądś? – zapytał.

– Mamy zlecenie na transport chorej z West Coast – wyjaśnił Mike. – Ale pamiętaj, żeby nie szaleć.

– Kto? Ja? – Brzytwa uśmiechnął się najniewinniej jak umiał. – To jak? Mam rozgrzewać silniki?

– Zaczekaj. Została nam więcej niż godzina do startu.

– Szkoda. – Pilot był wyraźnie rozczarowany. – Ale może w międzyczasie jeszcze coś się wydarzy.

– Mam nadzieję, że nie. – George rozprostowała ramiona. – Bo na razie mam ochotę na kawę.

– Ja też – uśmiechnął się Max. – Oczywiście, jeżeli mnie poczęstujesz.

– No pewnie. – Skierowała się do wejścia. – Łosiu, tobie też zaparzyć kawę? – zapytała, zatrzymując się w pół kroku.

– A mogłabyś mi podać ją tutaj? Z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru. Zostanę na dworze i pomogę trochę chłopakom.

– W porządku.

Przestępując z nogi na nogę, Max przyglądał się, jak George ustawia kubki, nastawia wodę i wyjmuje karton mleka z lodówki. Musiała zauważyć jego zdenerwowanie, bo uśmiechnęła się z nostalgią.

– Po takiej akcji zawsze trzeba trochę odpocząć'. Nawet jeśli wszystko dobrze się kończy, tak jak dzisiaj.

– Rzeczywiście. Właściwie to jeszcze nie zdążyłem ochłonać. Nigdy w życiu nie przysłoby mi do głowy, że będę kiedyś wykonywał taki zabieg, klęcząc na gołej ziemi nad brzegiem rzeki. Bez żadnego zaplecza chirurgicznego – roześmiał się. – Ale co najważniejsze, udało się!

– Tym razem tak. – George krzątała się przy stole. – Niestety, całkiem często nie jesteśmy w stanie nic zrobić. A poza tym po jakimś czasie wszyscy wpadamy w rutynę.

– Ale przynajmniej się nie nudzicie. – Max odsunął krzesło od stołu. – Wiesz, George, że nie miałem zielonego pojęcia, na czym polega ta praca. Teraz nie dziwię się już, że tak bardzo ci na niej zależało.

– To było dawno – odrzekła powoli. – Może się myliłam.

– Nie, to ja się myliłem. I nigdy nie powinienem był cię powstrzymywać. A już w żadnym wypadku nie wolno mi było odchodzić, kiedy postanowiłaś postawić na swoim.

– To było dawno – powtórzyła. – Czasem musi minąć naprawdę dużo czasu, zanim nauczymy się widzieć pewne sprawy z odpowiedniej perspektywy i dowiemy się, czy obrona wcześniej droga wiedzie w dobrym kierunku.

Nawet nie zwróciła uwagi na trzask wyłączającego się elektrycznego czajnika. Ani w głowie było jej teraz parzenie kawy.

– A teraz? – zapytał Max łagodnie. – Czy teraz już wiesz, dokąd zmierzasz?

Z wolna skinęła głową. – Tak. Teraz już chyba wiem.

– Ja chyba też... – Postąpił krok w jej kierunku. Wstrzymała oddech. Czyżby zaraz miała usłyszeć to, o czym od dawna marzy? A może to ona powinna odezwać się pierwsza?

– Pragnę...

Nagle wtargnięcie do pokoju Murraya, Rossa i Mike'a przerwało jej w pół zdania. Widać znowu nie było jej dane dokończyć rozmowy.

– Długo każesz nam czekać. – Mike zajął miejsce przy stole. – To całkiem nie w twoim stylu, George.

– Najwyższy czas, żebyście nauczyli się robić sobie kawę – odparowała. – W końcu nie będę tu z wami do końca życia.

W pokoju zapadło pełne napięcia milczenie. Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Wszyscy wiedzieli, że George odbyła dzisiaj rozmowę z Philem Warringtonem.

– Wcale nie podobają mi się te wszystkie zmiany. – Ross wyraźnie zmarnotniał.

– Jakie zmiany? – zainteresował się Max.

– Wielka George dostała propozycję pracy w mieście.

– I to bardzo dobrej pracy – wtrącił Łoś.

– No i dołącza do nas lekarz. – Ross podniósł kubek do ust – Już nigdy nie będzie tak samo. W końcu nie jest nawet powiedziane, że to Świstak dostanie ten etat. A jeden Bóg raczy wiedzieć, jacy będą pozostali kandydaci.

– Myślisz, że ktoś jeszcze się zgłosi? – zapytała George z powątpiewaniem. – Nie sadzę, żeby wielu lekarzy chciało podjąć tu pracę.

– Ja w każdym razie uważam, że to bardzo ciekawe doświadczenie – oznajmił Max.

– Tyle że niezbyt bezpieczne. – Nie zamierzała przed nim niczego ukrywać. – A poza tym bywa męczące, brudne i niewdzięczne.

– Przestań go zniechęcać. – Murray zerknął na George z niedowierzaniem. – Przecież nie jest aż tak źle.

– Nie należę do osób, które łatwo się zniechęcają. Zresztą – dodał Max, patrząc George

prosto w oczy – jeśli komuś bardzo na czymś zależy, to nie ma takiej siły, która byłaby w stanie skłonić go do kapitulacji.

– Tylko musisz być ostrożny, bo w pewnym momencie ratownictwo zaczyna działać jak narkotyk. Nigdy nie masz go dosyć i nie wiesz, kiedy odejść – ciągnął Łoś. – A jak widzę, zdążyłeś już połknąć bakcyła.

– Mówisz o sobie, dziadku? – zaśmiał się Mike. – Biały, kiedy to świętowaliśmy tu jego czterdzieste urodziny?

– Już nawet nie mogę sobie przypomnieć – odparł Ross.

– A co ty sądzisz na ten temat, George? Czy twoim zdaniem Murray ma rację? – Max przyjrzał się George z powagą.

– Jestem tego najlepszym przykładem. Już dawno powinnam zrezygnować. Tymczasem nawet ciężki wypadek nie był w stanie zmusić mnie do porzucenia tej pracy.

– Wiem. Czytałem o tym w prasie.

– Czyżby nasza George trafiła na pierwsze strony zagranicznych gazet? – zdziwił się Murray.

– Nie. Ale wczoraj Dougal pokazał mi artykuł na temat tamtego wypadku. Poszedł do czytelnicy, bo chciał się dowiedzieć czegoś o pracy w ratownictwie lotniczym. Początkowo sam zamierzał ubiegać się o ten etat, ale to, co przeczytał, mocno go zniechęciło.

– Bardzo słusznie.

– Tyle że prawdopodobieństwo, że po raz drugi dojdzie do wypadku, jest raczej niewielkie – przerwał jej Murray i usłyszawszy dzwonek telefonu, podniósł się z krzesła.

– Przykro mi, że nie wiedziałem o twojej chorobie – szepnął Max, kierując spojrzenie na George.

– A skąd mogłeś wiedzieć – odparła ze wzruszeniem ramion. – Jest też wiele innych rzeczy, których o sobie nie wiemy.

– Nie sądzisz, że czas to zmienić? Chciałbym z tobą porozmawiać.

George poczuła, że oddech zamiera jej w piersiach. Poczuła się tak, jakby nagle zobaczyła światło na końcu tunelu.

~ W takim razie może pojedziemy dziś do mnie po pracy. Przedwczoraj nawet nie zdążyłam pokazać ci domu.

– No to jesteśmy umówieni – powiedział ledwie słyszalnym szeptem, widząc, że Murray wraca do stołu.

– Mamy potwierdzenie wezwania. Max, zdecydowałeś się już, czy z nami polecisz? Bo jeśli nie, muszę zawiadomić dyżurującego lekarza. Starujemy za piętnaście minut.

– W porządku, lecę z wami.

George przyglądała się, jak Jack w pośpiechu płucze kubek po kawie. Najwyraźniej nie mógł już się doczekać odlotu. Trasa do West Coast prowadziła przez góry, a młody pilot uwielbiał trudne wyzwania.

– Z tego, co się zdążyłem dowiedzieć, rodzice pacjentki chcą towarzyszyć jej w drodze do szpitala, więc chyba nie możemy lecieć w komplecie – ciągnął Murray.

– To może zostać i choć raz wróc wcześniej do domu – zasugerowała George.

– Nie. To tobie należy się chwila wytchnienia. Rozsiądź się gdzieś wygodnie i spokojnie wypij następną kawę.

– O której powinniśmy być z powrotem? – zapytał Max.

– Najpóźniej o szóstej. Nie masz aż tyle czasu?

– Skąd – uśmiechnął się Max. – Tylko umówiłem się wieczorem na randkę i wolałbym się nie spóźnić.

– W takim razie możemy się zbierać. – Murray rzucił George przelotne spojrzenie. – I jak? Jesteś zadowolona?

– Owszem, i to bardzo – odparła i choć wiedziała, że Łoś całkiem co innego miał na myśli, popatrzyła znacząco na Maxa.

Pomachała odlatującym dłonią i powolnym krokiem wróciła do budynku. Mike i Ross zostali na dworze, gdzie czekała na nich kolejna partia uszkodzonego przez morską wodę sprzętu.

Usiadła przy stole i zabrała się za wypełnianie zamówień na brakujący sprzęt. Im szybciej zdoła się z nimi uporać, tym prędzej uzupełnią zapasy. Ciszę panującą w pokoju zakłócało jedynie ciche buczenie dobywające się z radia, przez które pracownicy bazy mogli słuchać rozmów między załogą śmigłowca a centrum kontroli lotów.

Zakończywszy pracę, zaczęła snuć plany na wieczór. Tak wiele miała Maxowi do powiedzenia. Tyle mu chciała pokazać. Przecież prawie skończyła już remont domu. Ciekawe, czy wprowadzone przez nią zmiany przypadną Maxowi do gustu.

Trzaski, które nagle zaczęły płynąć z głośnika, wyrwały ją z zamyślenia. Po chwili usłyszała głos Jacka.

– Tu zespół pierwszy do wieży kontrolnej. Mamy.... Połączenie zostało przerwane.

– Wieża do Jedyнки. Powtórzcie wiadomość.

– Tu Jedyńka...

W radiu znowu zapadło milczenie. George wstrzymała oddech i utkwiała spojrzenie w odbiorniku. Może zmienią pasmo nadawania i spróbują połączyć się raz jeszcze. Po chwili z głośnika popłynęły ciche, napawające trwogą słowa:

– SOS, SOS...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Wieża kontrolna do Jedyunki. Czy mnie słyszycie? Gdyby przynajmniej w odpowiedzi rozległy się jakieś trzaski świadczące o tym, że pilot stara się nawiązać łączność. Ale w eterze panowała całkowita cisza.

– Tu wieża, czy mnie słyszycie? – Głos młodej kontrolerki lotów zdradzał coraz większe zdenerwowanie.

George poczuła, że robi jej się słabo. Jak automat podniosła się z krzesła i wyszła na zewnątrz.

Mike i Ross, obaj w radosnych nastrojach, właśnie szykowali się do powrotu do domu.

– Czy coś się stało, George? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. – Na widok zmienionej twarzy koleżanki Mike potrząsnął ją za ramiona. – George, obudź się.

– Jack właśnie nadał sygnał SOS – powiedziała pozbawionym wszelkiego wyrazu głosem. – Wieża kontrolna nie może się z nim połączyć.

– Dobry Boże! – Twarz Mike’a nagle zrobiła się biała jak ściana. – Usiądź, George. A ty, Ross, pędź do telefonu i dowiedz się, co się dzieje.

Mimo że dalej wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie, George miała wrażenie, że przynajmniej dla niej świat nagle zatrzymał się w miejscu. Władze lotnicze, policja i służby ratownicze wspólnie przygotowały plan akcji poszukiwawczej. Wstępnie ustalono obszar poszukiwań, który musiał zostać zakreślony dość szeroko, gdyż nikt nie potrafił powiedzieć, jaką Jack wybrał dziś trasę. Pilotowanie śmigłowców dawało wolność wyboru i młody zapaleniec nader chętnie z niej korzystał, – Brzytwa zawsze wiedział wszystko najlepiej... – George nigdy nie darzyła Jacka szczególnym zaufaniem.

– Nie zapominaj, że raz już miał wypadek i wyszedł z niego bez szwanku – przypomniał jej Ross.

– Szkoda, że nie odebrali mu wtedy licencji. Zawsze za bardzo kochał ryzyko – upierała się.

– Jack jest świetnym pilotem. – Mike wziął kolegę w obronę. – Outsider istotnie mógłby pomyśleć, że to ryzykant, ale w rzeczywistości potrafi dać sobie radę w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji.

– Skoro mieli dość czasu, żeby wezwać pomoc, to pewnie zaczął nawalać im silnik. Żaden pilot nie potrafiłby lepiej poprowadzić maszyny w takiej sytuacji niż Jack – wtrącił Ross, starając się choć trochę uspokoić roztrzęsioną koleżankę.

Minęła godzina od ostatniego kontaktu z załogą śmigłowca, kiedy w bazie pojawił się przysłany przez lotnictwo cywilne lekki samolot używany do akcji poszukiwawczych.

– Polecimy we dwóch z Mikiem – oznajmił Ross. – Ty na razie zczekaj tutaj na Teda. Podobno jest już w drodze. Będiesz mogła się z nim zabrać śmigłowcem.

George pokręciła głową. Za nic nie zamierzała czekać bezczynnie na terenie bazy. Przygotowanie drugiego helikoptera do lotu zajmie Tedowi co najmniej godzinę, a w tym czasie wszystko może się zdarzyć.

– Przypominam wam, że mam licencję ratownika pierwszej klasy – oświadczyła wzburzona. – Chcę brać udział w poszukiwaniach. Zrozumcie mnie – dodała łamiącym się głosem. – Muszę coś zrobić.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– W porządku. Polecicie z Białym, a ja zaczekam tu na Rudego – zgodził się Mike.

Mała cessa była w stanie pomieścić cztery osoby. George zajęła miejsce z przodu, obok pilota. Ross siedział z tyłu razem z nieznanym jej bliżej ratownikiem.

Przymknęła oczy i ze wszystkich sił starała się odzyskać panowanie nad sobą. Przecież nie wolno jej się teraz rozkleić. Kie teraz, kiedy być może czeka ją najważniejsze w życiu zadanie.

Jednak ponure myśli raz po raz atakowały jej świadomość. Nie może utracić Maxa. Nie teraz. Przez ostatnich pięć lat żyła jakby w letargu. Dopiero powrót kochanego mężczyzny przywrócił sens jej istnieniu. Nie ma takiego problemu, którego nie zdołają wspólnie rozwiązać. To właśnie dzisiaj wieczoru mieli osiągnąć pełnię porozumienia. Przypomniała sobie wyraz oczu Maxa, gdy mówił, że nie może się dziś spóźnić na randkę. Tym spojrzeniem powiedział *je* wszystko.

Tylko siebie mogła Obwiniać za to, co się stało. Gdyby nie ona, Max nigdy nie zainteresowałby się pracą w ratownictwie lotniczym. Czyżby, na własną zgubę, próbował pokazać jej, że rozumie, jak wiele znaczył dla niej ten zawód? Niepotrzebnie. Przecież i bez tego wiedziała, jak bardzo j| kocha. Czy zdoła mu jeszcze kiedyś o tym powiedzieć?

Samolot posuwał się nad górami na możliwie najniższej wysokości. Sektor po sektorze, zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki, ratownicy przeszukiwali teren z nadzieją, że wreszcie ujrzą choć siad jaskrawożółtego śmigłowca. Na próżno. Minęła godzina i George powoli zaczynała już tracić nadzieję. Z największym trudem powstrzymywała napływające do oczu łzy.

Po dwóch godzinach bezskutecznego przeczesywania terenu otrzymali wezwanie do przerwania poszukiwań. W powietrzu pozostały dwa inne samoloty, które nieco później przyłączyły się do akcji.

Na niewielkim lądowisku w Springs Junction było rojno od ludzi i sprzętu. W niewielkiej szopie urządzono już polową stołówkę dla ratowników. Przed rozpoczęciem kolejnego etapu poszukiwali wszyscy musieli wzmocnić nadwątlone długotrwałym wysiłkiem i stresem siły.

George z trudem przełknęła kęs kanapki. Wiedziała, że nie może pozwolić sobie nawet na chwilę słabości. W milczeniu przyglądała się pochylonym nad mapami pilotom kierującym akcją. Ich opanowanie i rzeczowe uwagi dodawały jej otuchy.

Na jej widok Ted Scott natychmiast przerwał prowadzoną rozmowę i wyciągnął do niej ramiona. Dopiero w jego obecności dotarła do jej świadomości prawdziwa groza sytuacji. Wtulona w kombinezon przyjaciela, wybuchnęła głośnym szlochem.

Ted natychmiast wyprowadził ją na dwór i uspokajał tak długo, aż wreszcie zdołała otrzeć łzy.

– Dlaczego zgodziłam się zostać w bazie? – wykrztusiła. – To ja miałam tam lecieć.

Przynajmniej w ten sposób pozostałaby z Maxem do końca.

– Przecież nie wiemy jeszcze, co się stało – pocieszał ją Ted. – Pamiętaj, że Jack już raz wyszedł z katastrofy śmigłowca bez szwanku.

– Ale nie w górach – odparła, rozglądając się wokół.

– Niedługo zaczną zapadać zmrok. Jeśli któremuś z nich nawet udało się przeżyć, to i tak nie wytrzyma nocy w tych górach.

Wzrok George padł na stojącą nieco dalej znajomą sylwetkę śmigłowca.

– Zamierzasz przyłączyć się do poszukiwani? – zapytała.

– Nie masz już problemów z uszami?

– Nie, jest o wiele lepiej.

– No to chodźmy, niech przydzielą ci jakiś sektor.

– Kazali mi tu zostać. Mam poczekać na załogę. Ale nie martw się, przy dzisiejszej pogodzie widoczność utrzyma się pewnie do dziewiątej. Mike i Ross zaraz tu będą.

– Nie. Błagam cię, daj mi polecieć ze sobą. Ross może się zabrać cessa.

– To nie jest dobry pomysł, George.

– Dlaczego?

– Bo jesteś w to zbyt silnie zaangażowana.

– A ty? A Mike i Ross? Myślisz, że wy potraficie wyłączyć emocje? – ciągnęła z przejęciem. – Przecież tam są nasi przyjaciele. I Max, ten lekarz. On jest... raczej był moim...

– Zamilkła. Miała nadzieję, że Ted potrafi wyczytać z jej twarzy, jak ważna jest dla niej ta akcja. – Być może nie wsiądę już nigdy do śmigłowca, więc mi pozwól. Proszę!

– Zacisnęła dłonie na ręce przyjaciela.

Determinacja, jaką dostrzegł w jej oczach, kazała mu ulec. Może zresztą nie tylko determinacja, ale też siła uczucia, którą dotąd widział jedynie na twarzy własnej żony.

– Dobrze, George. Możesz lecieć.

Wracając do szopy, natknęli się na Mike'a, który właśnie próbował ich odnaleźć.

– Zlokalizowano wrak.

– I?

Mike z największym trudem przełknął ślinę, – Żadnego siadu życia – powiedział łamiącym się głosem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez dłuższą chwilę George nie była w stanie się poruszyć. Potem z największym trudem ruszyła powoli w kierunku śmigłowca. Ted i Mike zamienili jeszcze kilka słów i obaj ruszyli jej śladem.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, George?

– Tak.

– W takim razie nie ma na co czekać.

W milczeniu przygotowali się do odlotu. Zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył zaprotestować, George nałożyła na kombinezon siodełko, w którym zamierzała opuścić się na dół na linie. Lot nie trwał długo.

Tym razem perspektywa operacji spuszczenia się po Unie w górzystym, porośniętym lasem terenie nie napawała jej najmniejszą nawet trwogą. Z nienaturalnym wręcz spokojem patrzyła, jak Mike staje na płozie i rozpoczyna operację.

Spojrzała w dół. Między drzewami dostrzegła coś żółtego. Pomyślała, że może to fragment powłoki rozbitego śmigłowca. Jednak nie. Znalazłszy się na wysokości drzew, zorientowała się, że helikopter nie uległ eksplozji. Pokierszowany, z połamanymi śmigłami, leżał na ziemi wywrócony płozami do góry.

– Pięć, cztery, trzy – odliczała głośno kolejne metry dzielące ją od ziemi.

Dotknąwszy stopami podłoża, odczepiła hak i wyciągniętymi do góry kciukami dała Mike'owi znać, że może podciągać linę.

Rozejrzała się wokół. Połamane jak zapalki drzewa i odpryski żółtego lakieru na skałach świadczyły o sile uderzenia. Mimo że helikopter zachował się prawie w całości, nie liczyła na cud. W słuchawkach hełmofonu panowała absolutna cisza, lecz George zdawała sobie sprawę, że Ted i Mike siedzą w napięciu każdy jej ruch.

Nie zdoławszy otworzyć bocznych drzwi wraku, przecisnęła się między pogiętymi łopatkami śmigieł. Przednia szyba kabiny była całkowicie rozbita. Na przednim siedzeniu dostrzegła nieruchomą sylwetkę pilota. Przyłożyła mu dłoń do tętnicy na szyi, mimo że od początku wiedziała, że nie wyczuje w niej życia. Jack był martwy.

Z trwogą zajrzała do wnętrza maszyny. Nie dostrzegłszy w niej żadnej postaci, zatrzymała się na chwilę, próbując zebrać myśli. Gdy odlatywali z bazy, Murray zajął miejsce obok pilota, natomiast Max usiadł z tyłu w pojedynkę. Czyżby pod wpływem uderzenia obaj wypadli na zewnątrz przez przednią szybę? Uważnie przeczesала wzrokiem teren wokół śmigłowca, lecz nie dostrzegła nigdzie ani śladu noszonych przez ratowników pomarańczowych kombinezonów.

– George? – usłyszała w słuchawkach głos Teda. Widać razem z Mikiem nie byli w stanie dłużej wytrzymać napięcia.

– Jack nie żyje – zameldowała. – Szukam pozostałych.

– Sprawdź pod wrakiem.

Pochyliła się, rozgarniając połamane gałęzie.

- Nadal nic. Szukam dalej.
- George... ?
- Mógłbyś powtórzyć? Prawie cię nie słyszę. Chciałeś mi coś jeszcze powiedzieć, Ted?
- Nie. – Tym razem głos był wyraźny. – W ogóle się nie odzywałem.
- George!

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że głos, który usłyszała, wcale nie płynął ze słuchawek. Odwróciła gwałtownie głowę. Z daleka zamajaczyła jej przed oczami oparta o drzewo postać w pomarańczowym kombinezonie. Maską ochronną przytwierdzoną do helmfonu na tyle zaciemniała obraz, że nie potrafiła odróżnić, czy to Murray, czy Max.

Szybkim ruchem ściągnęła kask z głowy.

Max pozostał wśród żywych. Stał przed nią z pokaleczoną twarzą, opuchniętą powieką i włosami zlepionymi krwią.

– Nic mi nie jest – zapewnił.

Podniosła dłoń i ostrożnie dotknęła jego twarzy, jakby chciała sprawdzić, czy to przypadkiem nie sen.

– Nic mi się nie stało, George. Żyję. Murray też. Poczula się tak, jakby sama nagle odzyskała życie. Po chwili oboje padli sobie w ramiona.

– Ostrożnie, bo jednak jestem trochę poobijany – powiedział, tuląc ją do siebie. – Murray jest ranny. Zrobiłem wszystko, co było możliwe w tych warunkach, ale trzeba go jak najszybciej stąd zabrać. Jack niestety nie żyje.

– Wiem. W jakim stanie jest Murray? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Znajduje się w szoku, ale zdołał wyjść ze śmigłowca o własnych siłach. Starał się odprowadzić mnie możliwie jak najdalej od wraku, na wypadek gdyby doszło do wybuchu. – Max wprowadził George za rękę pomiędzy drzewa. – Ma otwarte złamanie zębra, które udało mi się już opatrzyć. Poza tym stwierdziłem objawy krwawienia wewnątrz jamy brzusznej. Wróciłem do śmigłowca po worek ze sprzętem i podłączyłem mu kroplówkę, lecz mimo to ciśnienie wciąż spada.

George ukłękła przy rannym.

Na jej widok Murray uśmiechnął się słabo.

– Witaj, Wielka George! Dobrze cię widzieć.

– Chyba narobiłeś sobie trochę kłopotów... – Starła się nie okazywać napięcia, mimo że oboje wiedzieli, że obrażenia Murraya są naprawdę poważne.

– Co tam! Komu właściwie potrzebna jest śledziona?

– Nie martw się. Zaraz poproszę Mike'a o nosze. Niedługo cię stąd zabierzemy. Max, będziesz w stanie mi pomóc?

– Oczywiście – odparł z pobladłą twarzą.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest, naprawdę.

– Posłuchaj, George. – Murray chwycił ją za rękę. – Jack tu nic nie zawinił. Do końca panował nad maszyną.

I prawie udało mu się wyładować.

– Ale co się właściwie stało?

– Mówił, że to silnik. Chyba pękły przewody paliwowe. George odpięła od paska radiotelefon.

– Tu George. Wzywam Zespół Drugi.

– Do jasnej cholery! – Głos Teda rozległ się głośnym echem po okolicy. – Nie wolno ci było wyłączać radia. Co się tam dzieje? Przez te drzewa nawet nie możemy cię zobaczyć.

– Opuście nosze – powiedziała spokojnym tonem. – Munay jest w stanie średnio ciężkim. Max odniósł tylko lekkie obrażenia.

Operacja wciągania noszy na pokład śmigłowca przebiegła szybko i sprawnie. Przekazawszy rannego pod opiekę Mike’a, George ponownie stanęła na płozie.

– Wracam na dół. Nie mogę zostawić Maxa samego. Przyślijcie po nas następny helikopter.

– Zdejmij kombinezon – poleciła, kiedy znalazłszy się z powrotem na ziemi, stanęła twarzą w twarz z ukochanym.

– Ale po co?

– Bo teraz ciebie będę musiała zbadać.

– Nie wygłupiaj się. Przecież mówiłem ci, że nic mi nie jest.

– Nie zapominaj, że jestem na służbie. Masz robić to, co ci każę.

– Niezła jesteś.

– W czym?

– W wydawaniu rozkazów.

– Znowu zaczynasz? Nie mam teraz najmniejszej ochoty na kłótnie.

Max w końcu posłusznie ściągnął podarty kombinezon. Przeprowadziwszy wstępne badanie, George uspokoiła się, że poza powierzchownymi skaleczeniami Maxowi istotnie nic nie dolega.

– Ale sweterek jest do wyrzucenia – oznajmiła, starając się nie okazywać zadowolenia. – To chyba ten sam, który dostałeś od Raewyn, tak?

– Roweny – poprawił. – Prawdę mówiąc, nigdy za bardzo go nie lubiłem.

– Mam nadzieję, że po tym wszystkim wywietrzeją ci z głowy głupie pomysły. – George tym razem nie starała się ukryć uśmiechu.

– No nie wiem. Mam już za sobą prawdziwą próbę ogniową.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nadal zamierzasz podjąć pracę w ratownictwie?

– Szanse na to, żeby po raz drugi przytrafił mi się podobny wypadek, są raczej niewielkie, prawda?

George przymrużyła gniewnie powieki.

– Posłuchaj, Tam w śmigłowcu leży martwy człowiek. Mój kolega. Miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat. A ty śmiesz sobie z tego żartować!

– Może to wcale nie był żart? – odparł, patrząc jej przy tym prosto w oczy. – O ile wiem, sama też otarłaś się o śmierć.

– Gdybym miała choć trochę rozumu, już dawno bym zrezygnowała.

– To dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Może nie miałam dla kogo? Poza tym i tak nie dostaniesz tej pracy. Nie dopuszczę do tego.

– A w jakiż to sposób? – spytał z ironią w głosie.

– Nie zapominaj, że znam tu wszystkich. Wystarczy, że im powiem, że się nie nadajesz.

– Niby dlaczego?

– Bo jesteś beznadziejnie głupi.

– Słucham?! – Teraz już i Max zaczął tracić cierpliwość.

– Zajrzałeś śmierci w oczy. Tym razem ci się udało. Ale jesteś za głupi, żeby zrozumieć, co to oznacza – mówiła przez ściśnięte gardło. – To niebezpieczny zawód. W ogóle przestało cię to obchodzić?

– Nie. Ale nie rozumiem, dlaczego aż tak się wściekasz? George zacisnęła pięści.

– Bo naraziłeś się na niebezpieczeństwo. Bo nie obchodzi cię wcale, że jest ktoś, komu bardzo na tobie zależy. Kto nie miałby po co żyć, gdyby coś ci się stało.

– Jak na przykład kto?

– Różni ludzie, którym jesteś bliski. – George się wyraźnie zmieszała.

Max zamyślił się. Po chwili podniósł się z głazu, na którym siedział, ujął George za podbródek i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Czy miałaś na myśli siebie? – zapytał.

– A jak myślisz? – Łzy wielkie jak ziarna grochu spływały jej po policzkach. – Kocham cię, Mas. Nigdy nie przestałam cię kochać – szlochała. – Zdałam sobie z tego sprawę w chwili, kiedy cię znów zobaczyłam. Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak puste jest moje życie.

Max otarł dłonią łzy płynące z jej oczu.

– Ja też cię kocham. W ogóle nie pojmuję, jak to się stało, że postanowiliśmy się rozstać.

George całym ciałem wtuliła się w jego roslą postać.

– Nareszcie rozumiem, kim naprawdę jestem. Nie muszę już udowadniać, że nie jestem gorsza od chłopców. I szczerze mówiąc, coraz bardziej podoba mi się rola kobiety.

– To świetnie, bo ja też wolę cię w tej roli.

– I właśnie dlatego, że jestem kobietą, uznałam, że muszę stawić czoła kolejnemu, niezwykle ambitnemu wyzwaniu. – Prowokująco wyduła usta.

– Tylko nie to! – krzyknął, śmiejąc się od ucha do ucha. – To co tym razem chcesz robić? Pływać okrętem podwodnym? Polecieć w kosmos?

– Chcę zostać matką.

Max spojrzał się na nią ze śmiertelną powagą.

– Zgadzam się. Ale tylko pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Pod warunkiem, że zostaniesz matką naszego wspólnego dziecka.

– Nie mogłabym wymarzyć mu lepszego ojca.

W oddali dał się słyszeć warkot nadlatującego śmigłowca. Oboje spojrzeli w niebo.

– W samą porę – powiedział Max. – Prawie zapomniałem, że umówiłem się z kimś dzisiaj na randkę.